810

6 pol.
25/—

20

ŻYCIORYSY SŁAWNYCH POLAKÓW

Nr. 7.

FRYDERYK CHOPIN

ZARYS BIOGRAFICZNY

PRZEZ

FERDYNANDA HOESICKA

Z portretem Fryderyka Chopina

Cena 30 kop.

PETERSBURG

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO

1899

À mon très cher papa

Bohdan

24./XII. 1942 r.



Fryderyk Chopin

ŻYCIORYSY SŁAWNYCH POLAKÓW.
Nr. 7.

FRYDERYK CHOPIN

ZARYS BIOGRAFICZNY

PRZEZ

Ferdynanda Hoesicka.

Z PORTRETEM FR. CHOPINA.

Cena 30 kop.

PETERSBURG.
NAKŁADEM KAZIMIERZA GRENDYSZYŃSKIEGO.
1899.

Zbiory Stowarzyszenia I. T. C.
810
NARODOWY INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA BIBLIOTEKA

KRAKÓW. — DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

W KRAJU.

1810—1830.

018

ROZDZIAŁ I.

Dzieciństwo (1810—1824).

Żelazowa Wola. Urodziny artysty. I. Mikołaj Chopin. Matka Fryderyka. Rodzina. II. Przeniesienie się do Warszawy. Atmosfera domowa. Mały Frycek. Pierwsze przejawy talentu do muzyki. Wojciech Żywny. Pierwsze wystąpienie publiczne. Powodzenie w świecie. Stosunki z Belwederem. Catalani.

O sześć mil od Warszawy, pod Sochaczewem, nad rzeczką Utratą, leży wieś Żelazowa Wola. Majątek ten, otoczony nieprzejrzaną płaszczyzną pól mazowieckich, posiada duży murowany dwór z pięknym parkiem, obok dworu zaś, w dziedzińcu, podłużną oficynę parterową. W tej to niepozornej oficynie, w jednej z jej niskich bielonych komnat, urodził się d. 22 lutego 1810 r., z ojca Mikołaja i matki Justyny z Krzyżanowskich, Fryderyk Franciszek Chopin, najgenialniejszy z muzyków narodowych polskich, a „najśmielszy i najdumniejszy duch poetycki swojej epoki“ [1]). Istnieje legenda, że w chwili, gdy przyszły twórca *Mazurów* i *Polonezów* ujrzał światło dzienne, za oknami rozlegały się dźwięki skrzypiec i basetli, na których paru wiejskich muzykantów „rżnęło od ucha“ przed gankiem dworskim, oznajmiając dziedziczce, hrabinie Skarbkowej, że się zanosi na weselisko we wsi...

I.

Śniady brunet o żywych inteligentnych oczach, a twarzy wygolonej i myślącej, Mikołaj Chopin cieszył się opinią

[1]) Tak o Chopinie wyraził się Robert Schumann.

człowieka prawego niezmiernie, ujmującego delikatnem obejściem, wykształconego, o charakterze równym; spokojnym, o duszy czystej, bez skazy. Stworzony na pedagoga, posiadał niezwykły dar wywierania wpływu na młodociane umysły, a choć z pochodzenia i temperamentu był Francuzem, to jednak, poświęciwszy się wychowaniu młodzieży polskiej, nigdy jej nie myślał wyzuwać z polskości — jak to było we zwyczaju u wszystkich innych *metrów* francuskich — lecz „szanując Polaków i wdzięczny będąc ziemi i ludziom, między którymi gościnne znalazł przyjęcie i odpowiedni sposób utrzymania życia, sumiennem kształceniem ich potomków na użytecznych obywateli, wypłacał się szczerze z obowiązków wdzięczności“ [1]).

Urodzony w Nancy, w Lotaryngii, d. 17 kwietnia 1770 r., przywędrowawszy, jako 17-letni młodzieniec, do Warszawy, został buchalterem we francuzkiej fabryce tabaki. Będąc świadkiem tak doniosłego przewrotu w dziejach narodu polskiego, jak sejm czteroletni, ogłoszenie konstytucyi 3 maja, a następnie drugi rozbiór Rzeczypospolitej, nabrał tak gorącej sympatyi dla miejscowej ludności, że nietylko nauczył się jej języka, ale gdy wybuchło powstanie Kościuszki, wstąpił w szeregi gwardyi narodowej, w której niebawem dosłużył się rangi setnika. Po trzecim rozbiorze, zdecydowawszy się osiąść w Polsce na zawsze, przyjął miejsce guwernera w arystokratycznym domu starościny Łączyńskiej. Po kilku latach, już na początku bieżącego stulecia, przeniósł się do Żelazowej Woli, do domu hrabiny Skarbkowej, która mu powierzyła wychowanie swego starszego syna, Fryderyka, przyszłego pisarza i historyka. Tutaj poznał i pokochał pannę Justynę Krzyżanowską, która, jako sierota i daleka krewna hrabiny, wychowywała się pod jej dachem, a kiedy mu się udało pozyskać wzajemność pięknej dziewicy, d. 28 czerwca 1806 r. pojął ją za żonę.

Było to uosobienie dobroci. Wysoka, smukła, o włosach jasnych, jak zboże, o smętnych szafirowych oczach, duszę posiadała wrażliwą i marzycielską, a od całej postaci jej, pełnej niewysłowionego wdzięku, szła jakaś poezya kobiecości i słodyczy. Wychowana starannie, w atmosferze wielkopańskiej, wykwintnej, doskonale mówiła po francuzku — tą starą francuczyzną o trochę wyszukanych zwrotach — a nadzwyczaj

[1]) Fr. Skarbek, *Pamiętniki.*

muzykalna z natury, nietylko grała na fortepianie, lecz i śpiewała bardzo pięknie. W długie zimowe wieczory, kiedy w czeladnej, wraz z dziewczętami wiejskiemi, przędła przy kołowrotku, przyczem oczywiście nie obchodziło się bez śpiewu, jej głos najdźwięczniej wyróżniał się wśród tego sielskiego chóru, a kiedy w karnawale przyszła ochota potańczyć, najchętniej tańczono przy jej muzyce, bo przy niczyjej nie tańczyło się tak dobrze. Niegorzej zaś, niż do tańca, grała do słuchu, wygrywając ulubione melodye i romanse. Słowem, była to istota niepowszednia, *eine schöne Seele*, jakby ją nazwał Goethe. Skromna, cicha, pobożna, umysłu bystrego, choć spokojnego, a charakteru łagodnego, miękiego, skoro została matką, okazała się nietylko „najlepszą z matek“ (jak ją z czasem nazwał jej syn, którego, zdaniem pani Sand, była „jedyną miłością“), lecz wogóle uchodziła za „najgodniejszą z kobiet“, która nadewszystko kochając dzieci i męża, całą duszą oddana życiu rodzinnemu, za najwyższe dobro uważała szczęście domowego ogniska.

Dzieci miała czworo: trzy córki i jedynaka syna. Z tych wszystkie odziedziczyły jej usposobienie artystyczne. Najstarsza z rodzeństwa, Ludwika [1]), niezwykle inteligentna, przez całe życie odznaczała się wielkim pociągiem do pióra, a że i jej młodsza siostra, Izabella [2]), miała umysł literacki, więc pisywały mnóstwo powiastek moralnych, z których jedna, dwutomowa powieść p. t. *Pan Wojciech, czyli wzór pracy i oszczędności*, nawet się doczekała kilku wydań. Najzdolniejszą jednak, najwięcej obiecującą, jako rzeczywisty talent poetycki, była ich najmłodsza siostra, Emilia, która już jako 13-letnia dziewczynka, wspólnie z Izabellą, tłomaczyła niemieckie powiastki Salzmana, a z równą łatwością pisywała prozą jak wierszem. Niestety, nim się zdołała rozwinąć, umarła w 14-ej wiośnie życia. Zmarła na suchoty, których zaród, podobnie jak i brat jej, Fryderyk, odziedziczyła po ojcu [3]).

[1]) Urodzona d. 6 kwietnia 1807, zmarła 22 października 1855 r. jako żona prof. Jędrzejewicza.

[2]) Wyszła za Antoniego Barcińskiego, inspektora szkół, a później dyrektora żeglugi parowej na Wiśle.

[3]) Mikołaj Chopin umarł na chorobę piersiową, skomplikowaną z chorobą serca, w r. 1844, w Warszawie. Zob. *Fryderyk Chopin jako człowiek i jako muzyk* przez Fryderyka Niecksa (tłom. niemieckie Langhausa) Lipsk, 1890, t. I, str. 66.

II.

Tymczasem, w r. 1810, wszyscy byli zdrowi, i gdyby nie czasy niespokojne, nie skarżyliby się na nic. Ale czasy były burzliwe, wojenne, Europą trząsł Napoleon, który

Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,
Od puszcz libijskich latał do Alpów podniebnych,
Ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor,
W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i Zabór
Biegły przed nim i za nim,

aż w końcu, z chwilą utworzenia Wielkiego Księstwa Warszawskiego, dotarły i na Mazowsze. Trapiona nieustannemi przechodami wojsk francuskich, których marsze i kontrmarsze stawały się plagą dla okolicy, pani Skarbkowa, nie mogąc wysiedzieć na wsi, przeniosła się do Warszawy, a wraz z nią przeniosła się tam i cała rodzina małego Fryderyka.

Począwszy od dnia 1 października 1810 r. Mikołaj Chopin, na skutek przedstawienia Lindego, rektora Liceum Warszawskiego, został mianowany profesorem języka francuskiego przy tymże zakładzie naukowym, za dowód zaś, jak sobie potrafił zjednać uznanie władz szkolnych, może posłużyć fakt, że w r. 1812 powołano go do wykładania tegoż przedmiotu w świeżo założonej Szkole artyleryi i inżynierów, tudzież w Szkole aplikacyjnej. Nadto pozwolono mu założyć pensyonat.

Pensyonat ten — w pałacu „Prymasowskim“ przy ulicy Senatorskiej — niebawem zasłynął w całej Warszawie, jako jeden z najznakomitszych, w którym znaczniejsze rodziny najchętniej umieszczały swych synów, gdyż był to dom, gdzie chłopcy nietylko mieli prawdziwie rodzicielską opiekę i najlepszych guwernerów ale i oddychali wyjątkowo kształcącą atmosferą. Wystarczy nadmienić, że dom Chopinów „był miejscem, gdzie się lubili gromadzić artyści i uczeni“. Uczonych pociągała sympatyczna postać pana Mikołaja, artyści ciągnęli do pani Justyny, do jej śpiewu i gry na fortepianie. Z uczonych bywał Linde, Brodziński, Maciejowski, Kolberg (ojciec Oskara), Hube, Jarocki, artystów zaś, przeważnie muzyków, z wyjątkiem malarza Brodowskiego, reprezentowali Jawurek, Żywny, Elsner i wielu innych. Wszyscy byli z wielką sympatyą dla

państwa Mikołajostwa, a to samo dało się powiedzieć o ich pensyonarzach, których zawsze mieli po dwudziestu i więcej. Wstawano o 7-mej rano. Po modlitwie, którą jeden z „dozorców“ odmawiał na głos, i po przepowiedzeniu lekcyi, co się odbywało w obecności gospodarza, udawano się do wielkiej i widnej sali jadalnej, na śniadanie. Potem wszyscy szli do Liceum. Wieczorami, po spacerze i odrobionych lekcyach, bawiono się w gry towarzyskie, w niedzielę zaś, w którą rano uczęszczano na nabożeństwo do Wizytek, przychodził pan Casorti, słynny mistrz sztuki choreograficznej, i odbywały się lekcye tańców. Pani Chopinowa zasiadała do fortepianu, a młodzież hulała. Gdy podrosły starsze córki gospodarstwa, gdy Ludwika miała lat dziewięć, a Izabella skończyła ośm, bawiono się o tyle lepiej...

W takiej atmosferze wzrastał i rozwijał się mały jasnowłosy *Frycek*. Z oczyma piwnemi, a rzęsami ciemnemi i długiemi, o twarzyczce drobnej, regularnej, był to chłopczyk delikatny, wątłej kompleksyi, ale wesół i żywy, nadzwyczaj rezolutny, a zwłaszcza dowcipny i skłonny do figlów. Tylko muzyki nie mógł słuchać obojętnie. Z początku, w pierwszych latach dzieciństwa, kiedy pani Chopin grała na fortepianie, wpadał w płacz, który niełatwo dawał się ukoić... Nie wiedziano, czem sobie tłomaczyć te łzy, i obawiano się, czy to nie jakiś wrodzony wstręt do muzyki. Lecz przekonano się niebawem, iż miało się przeciwnie, a owe łzy dowodziły tylko silnego wzruszenia, którego chłopiec nie umiał wyrazić inaczej. Któregoś dnia ujrzano go siedzącego pod fortepianem: wsłuchiwał się w ciche brzęczenie strun na odgłos kroków i głośnej rozmowy w sąsiednim pokoju. Następnie, kiedy widział, że matka jakoś długo nie otwierała fortepianu, sam ją zaczął ciągnąć do instrumentu, a kiedy usiadła przed klawiaturą, ze szczególnem zajęciem przypatrywał się białym i czarnym klawiszom... W czasie lekcyi tańców, gdy inni dawali się porywać wirowi zabawy, on nie podzielał ogólnej wesołości, lecz z główką wspartą o kolana matki, wsłuchiwał się w jej grę, rozmarzony melodyami, które tymczasem płynęły z pod jej palców... Którejś nocy nareszcie, gdy wszyscy spali, usłyszano, że w salonie ktoś gra na fortepianie. Okazało się, iż był to mały Frycek, który boso, w koszulce, wstał z łóżka, ażeby

spróbować, czy mu się nie uda wygrać tego, co grywała matka. I, o dziwo! udawało mu się!...

Wobec takiego zamiłowania do muzyki, zamiłowania, które w nim wzrastało z dniem każdym, jeszcze nie skończył lat siedmiu, a już się zaczął — razem z siostrą Ludwiką — uczyć grać na fortepianie. Tym, który miał szczęście być jego pierwszym nauczycielem — pierwszym i jedynym — był Wojciech Żywny. Czech z pochodzenia, oddawna zamieszkały w Polsce, utrzymywał się z dawania lekcyi muzyki, a jako taki uchodził za jednego z najlepszych nauczycieli w Warszawie. Jako muzyk, był przedewszystkiem entuzyastycznym wielbicielem Bacha; pozatem uznawał tylko muzykę klasyczną, której także hołdował sam, jako kompozytor; jako człowiek, był sympatyczny niezmiernie, wesoły, ochoczy do rozrywek. Na wieczornych zebraniach u państwa Chopinów, gdy inni mężczyźni poważnie rozmawiali lub grali w karty, on wodził rej między młodzieżą. „U nas wszystko po dawnemu — czytamy w jednym z listów Chopina — poczciwy Żywny duszą każdej zabawy". Na lekcyi jednak, gdy występował w roli pedagoga, nadzwyczaj sumiennie wywiązywał się ze swych obowiązków, metoda zaś, której się trzymał, tak trafiała do przekonania *Fryckowi*, że jego zdaniem — jak się o swym mistrzu wyraził w jednym z listów — „z panem Żywnym największy osioł by się nauczył". Cóż dopiero, gdy uczniem był przyszły twórca *Nokturnów!* Jakoż nie upłynął rok, a młody Frycek czynił tak olbrzymie postępy, że nietylko zdumiewał swoją grą na fortepianie, ale już zaczynał komponować, choć jeszcze nie umiał napisać tego, co stworzył. Wyręczał go w tem Żywny, który spisywał to, co mu Frycek wygrywał na fortepianie, poczem młody maestro, niezadowolony z niektórych pomysłów muzycznych, „zasiadał do pracy z krytycznym pilnikiem, probując szlifować dokonane dzieło".

W roku 1818, gdy jeszcze chłopiec nie miał skończonych lat ośmiu, sława jego, jako cudownego dziecka, tak się rozniosła po całem mieście, że kiedy postanowiono urządzić koncert na dochód ubogich, Julian Ursyn Niemcewicz, w imieniu swojem i innych dostojnych osób opiekujących się instytucyą dobroczynności, wystosował list do małego wirtuoza z prośbą, ażeby w tym koncercie zechciał wziąć udział. Koncert odbył się d. 24 lutego, a punktem kulminacyjnym programu była gra 7-letniego fortepianisty, który ku najwyższemu zadowoleniu wszystkich wykonał nie byle co, bo *Koncert* Gyrowetza!

Odtąd rozrywano wszędzie „małego Szopenka", a najarystokratyczniejsze salony poprostu ubiegały się o niego. Wyjątku nie stanowiły nawet apartamenty Belwederu, na których Frycek tak sobie podbił sympatyę Cesarzewicza i księżnej Łowickiej, iż coraz częściej posyłali po niego, ażeby przyjechał bawić się z ich synem, Pawełkiem. Przyszło do tego, że nietylko improwizował na pokojach Wielkiego Księcia, ale mu raz ofiarował skomponowanego przez siebie marsza. Marsza tego, instrumentowanego z polecenia Cesarzewicza, niejednokrotnie grywano podczas słynnych parad wojskowych na Saskim Placu... Sławna śpiewaczka Catalani, w przejeździe przez Warszawę w r. 1820, kiedy poznała małego Chopina, zachwycona jego prześliczną grą ofiarowała mu, w dowód uznania i wdzięczności, złoty zegarek z napisem na kopercie: „*Donne par Madame Catalani à Frédéric Chopin âgé de dix ans*".

ROZDZIAŁ II.

W liceum (1824—1827).

I. Uczeń liceum. Ulubione nauki. Stosunek do kolegów i przełożonych. Pogodne usposobienie. Zdolności aktorskie i autorskie. Postępy w muzyce. Elsner. II. Wakacye letnie. Muzyka wiejska. Szafarnia. Służewo. Pierwsza uczennica. Wakacye w r. 1824. Udział w koncertach. *Rondo Op. I.* III. Lato w Reinertz. Ostatni rok szkolny.

I.

Ale kształcąc się w muzyce, nie zaniedbywał i innych nauk, które mu przychodziły równie łatwo, jak gra na fortepianie. Wogóle był nadzwyczaj zdolny i pojętny. Kiedy zaczął rok 14-ty, był już przygotowany o tyle, iż zdał egzamin do 4-ej klasy Liceum Warszawskiego, co znaczy, że musiał być wcale daleko zaawansowany w łacinie, greckim, matematyce, historyi, etc. Uczył się bardzo dobrze, a choć w domu uczył się mało, w szkole zaś (do której, jako syn nauczyciela, uczęszczał bezpłatnie) najczęściej był roztargniony, zaabsorbowany myślami, które z lekcyą rzadko miały coś wspólnego. Mimo to, zawsze przynosił dobre stopnie, a pod koniec roku, po egzaminach, wracał z nagrodą... Niektórych przedmiotów, jak łacina, greka, matematyka, nauki przyrodzone, nie lubił: nudziły go, szczególniej języki starożytne; za to z zapałem uczył się historyi i literatury polskiej, które go niezmiernie interesowały, nierównie więcej, aniżeli powszechna. Co także lubił nadzwyczaj, to rysunki, do których okazywał nadzwyczajny talent. Szczególniej do rysowania karykatur, zwłaszcza karykatur profesorów, samego rektora Lindego nie wyłączając. Z kolegami, do których należeli Tytus Wojciechowski, Stanisław Koźmian, Stefan Witwicki, Konstanty Gaszyński, Ignacy Maciejowski, Julian Fontana i wielu innych, żył na przyjacielskiej stopie, nadzwyczaj lubiany od wszystkich. Szczególniej przyjaźnił się z Wojciechowskim i Fontaną, którzy byli pensyonarzami jego ojca, a podobnie, jak on, nadewszystko kochali muzykę. Innych, jak Witwickiego, Koźmiana, także lubił bardzo, co nie znaczyło przecież, ażeby im nie płatał różnych figlów. Figle bowiem, pospołu z karykaturami, były jego specyalnością. Nadto miał jeszcze jedną specyalność, oprócz muzyki: posiadał niesłychaną zdolność mimiczną, która, pozwalając mu naśladować ruchy, gesta, sposób mówienia, etc., różnych osobistości, a zawsze okraszona humorem i komizmem, potrafiła rozjaśnić najbardziej chmurne oblicza. Wszystko to, razem wzięte, a pomnożone ujmującym wdziękiem i taktem, obok wrodzonej delikatności i wytworności, sprawiało, że całe liceum przepadało za swym utalentowanym wychowańcem, że go lubili zarówno koledzy jak profesorowie. „Nawet gdy płatał im figle, gdy ich naśladował lub karykaturował, robił to zawsze z taką komiczną i naturalną werwą, z taką wesołą niewinną swobodą, że nikt cienia złej woli lub myśli w tem dostrzedz nie mógł, więc też i gniewać się nie miał powodów".

Wesołość i dobry humor nie opuszczały go i w domu rodzicielskim, gdzie, jako najweselszy z pensyonarzy, gdy szło o przewodniczenie zabawie, współzawodniczył z „poczciwym Żywnym", a przewyższał go nawet, skoro zabawiano się w teatr amatorski. „Znamienity ówczesny artysta dramatyczny, Wojciech Piasecki, zajmujący się jako reżyser układem tych amatorskich przedstawień, utrzymywał, iż Fryderyk dosadnością mimiki, śmiałością i przytomnością umysłu, wyborną deklamacyą i darem łatwego przekształcania fizyognomii, był jakby stworzony na doskonałego aktora". Istotnie grą swoją, która w nim nie pozwalała domyślać się amatora, wzbudzał ogólny podziw, nawet wśród najlepszych znawców sztuki teatralnej, a bywał wprost niezrównanym, gdy mu wypadło sztukować, gdy sufler źle podpowiedział lub który współgrający pomylił się i nie wiedział, co dalej mówić. Okazało się jednak, iż w Fryderyku-aktorze był jeszcze i materyał na autora dramatycznego, który pospołu z siostrą Emilią potrafił nietylko napisać wesołą komedyjkę, ale ją nawet umiał napisać wierszem. Jedna z takich komedyjek p. t. *Omyłka, czyli mnie-*

many filut, napisana w zimie r. 1824 na imieniny ojca, zachowała się aż po dziś dzień...

Jednocześnie robił zadziwiające postępy w muzyce. Nad grą jego, coraz doskonalszą pod względem technicznym, a niezmiernie wytworną i poetyczną, unosili się znawcy i nieznawcy, począwszy od najwybitniejszych przedstawicieli świata arystokratycznego, a skończywszy na pensyonarzach ojca, którym wieczorami improwizował na fortepianie „różne historye o zbójcach i złodziejach“... Nadto, oprócz nadzwyczajnego talentu improwizatorskiego, okazywał niezwykły zapał do komponowania. „Poczciwy Żywny“, uderzony genialnemi zdolnościami swego ucznia, zamiast przewodzić nad nim, ściśle stosował się do jego życzeń, aż wreszcie doszedł do przekonania, że chłopca, tak fenomenalnie obdarzonego od natury, należy pozostawić własnemu kierunkowi i natchnieniu. Wychodząc z tej zasady, choć go ćwiczył w kulcie Bacha i Cherubiniego, to jednak w niczem nie krępował jego porywów, a rodziców zachęcał, ażeby więcej nacisku kładli na muzyczne kształcenie jedynaka.

Skończyło się na tem, że Fryderyk zaczął uczęszczać do konserwatorium, ażeby tam, pod osobistym kierunkiem Elsnera, wtajemniczać się w naukę kontrapunktu i kompozycyi. Nikt lepiej, niż zasłużony twórca *Łokietka*, nie nadawał się do tej roli.

Urodzony na Szląsku w r. 1769 w Grotkowie, jako syn fabrykanta instrumentów muzycznych, który go przeznaczył do stanu duchownego, najprzód pobierał nauki we wrocławskim klasztorze Dominikanów, gdzie skomponowawszy motet *Ave Maria*, zwrócił na siebie uwagę Schöna, rektora chóru klasztornego. Za jego staraniem miał możność gruntowniejszego poznania zasad kompozycyi, a wreszcie, mając lat 19, zerwał z teologią, a poświęciwszy się medycynie, przeniósł się do Wiednia. Tutaj, namówiony przez Bundesmana, swego przyjaciela i kolegi z ławy szkolnej, poświęcił się wyłącznie muzyce, z kolei otrzymał miejsce skrzypka orkiestry teatralnej w Bernie, skąd zawezwany do Lwowa, objął posadę kapelmistrza opery, przez siedm lat pracując dla sceny lwowskiej, komponując różne kantaty, balety, wstawki do oper, opery. Tutaj w r. 1794 zetknął się z Wojciechem Bogusławskim, który poznawszy się na jego talencie, namówił go do kompo-

Z. I. F. C. PAN
INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA NARODOWY
BIBLIOTEKA

nowania oper polskich. Niestety, Elsner nie umiał po polsku. Niezrażony tem jednak, zaczął się uczyć naszego języka, a niebawem umiał już tyle, iż mógł napisać muzykę do libretta Bogusławskiego. W r. 1799, przeniósł się z nim do Warszawy i tu objął kierownictwo opery polskiej. Na tem stanowisku, rozwinąwszy olbrzymią działalność pedagogiczną i kompozytorską, napisał szereg oper, baletów, melodramatów, oratoryów religijnych, między innemi *Króla Łokietka* i *Mękę Jezusa Chrystusa*, będącą jego arcydziełem. W r. 1816 założył szkołę operową a gdy w r. 1821 założono warszawskie konserwatoryum muzyczne, został jego dyrektorem. Ożeniony z Polką, Karoliną Drozdowską, śpiewaczką, spolszczył się zupełnie, tak, iż nietylko tworzył opery, po większej części osnute na tematach z dziejów narodowych, ale zaczął i pisać po polsku, np. *O rytmiczności i metryczności języka polskiego*.

Gdy mu powierzono tak niepospolitego ucznia, jak Chopin (którego znał od dziecka), to przedewszystkiem, ceniąc jego indywidualność artystyczną, zdecydował się nie pętać jej, nie naginać do formułek ogólnych, lecz przeciwnie, dążyć do tego, ażeby, nie krępowana żadnym pedantyzmem szkolarskim, mogła się rozwijać jaknajswobodniej. Ale znaleźli się tacy, co nie pochwalając takiej metody, zwracali uwagę twórcy *Leszka Białego*, że Chopin nie zawsze przestrzega ogólnie przyjętych reguł, a często pomiata niemi, że słucha jedynie własnej fantazyi. Tym dawał taką odpowiedź: „Dajcie mu pokój. Prawda, że nie idzie on drogą zwyczajną, ale też i talent jego jest nadzwyczajny. Nie trzyma się utartej drogi, powiadacie, lecz on ma swoją własną, i to, jeżeli się nie mylę, stanowić w nim będzie oryginalność, jakiej dotychczas nikt w tak wysokim stopniu nie posiadał“.

Za największą zasługę poczytano Elsnerowi, jako kompozytorowi, że melodye urabiał *na pieśniach ludowych polskich*, a tem samem zachęcał *do tworzenia w duchu muzyki ojczystej*. Otóż zdaje się nie ulegać wątpliwości, że i na przyszłego twórcę *Mazurów* wywarł Elsner pod tym względem wpływ bardzo dodatni i wybitny. Jemu zawdzięczając, Fryderyk, bądź w czasie częstych wycieczek za miasto, odbywanych w towarzystwie ojca i kolegów z pensyonatu, bądź w czasie wakacyi, gdy bawił na wsi, nie był obojętny na dźwięki skrzypiec, dochodzące z karczmy, ani na pieśni dziewcząt wiejskich, śpie-

wających przy sierpach, ani na dźwięki fujarki pastuszej: owszem, w miarę, jak się rozwijał i dojrzewał, coraz więcej w nich znajdował upodobania.

II.

Na wsi zaś, gdzie miał sposobność wsłuchiwania się w muzykę ludu mazowieckiego, gdzie mu się o uszy obijały skoczne melodye mazurów, obertasów i kujawiaków, bywał co lato: bądź w Żelazowej Woli u hrabiego Skarbka, bądź w Szafarni u Dziewanowskich, bądź w Służewie u Wodzińskich.

Z tymi ostatnimi poznał się i zaprzyjaźnił w Warszawie, w domu rodziców, u których trzej młodzi Wodzińscy, Antoni, Feliks i Kazimierz, stali na stancyi. Byli to bardzo sympatyczni chłopcy, tem sympatyczniejsi w oczach Fryderyka, że w nich przedewszystkiem widział braci panny Maryni, która, o ile bawiła z matką i młodszą siostrą, Terenią, w Warszawie, o tyle raz poraz bywała i w domu państwa Mikołajowstwa Chopinów. Było to dziecko jeszcze, ale niezmiernie miłe, a jako córka magnackiego rodu, wzrosła w atmosferze wielkopańskiej, pełna wrodzonego wdzięku i dystynkcyi, którą jeszcze podnosiło wychowanie, posiadała wszelkie dane, ażeby się podobać takiemu chłopcu, jak mały Chopin. Brunetka o prześlicznych oczach, jak węgle, i matowej cerze Włoszki, nietyle ładna, ile nadzwyczaj miła, należała do najlepszych tancerek na niedzielnych zabawach w pensyonacie, a gdy się zdarzyło, że podobna zabawa odbywała się w gościnnym domu jej rodziców (którzy zwykle zimę spędzali w Warszawie), to nikogo nie wyróżniała tak, jak Frycka. Kiedy proszony, żeby coś zagrał, siadł do fortepianu, ona usadawiała się obok, a zasłuchana w jego muzykę, żywiła jedno pragnienie, ażeby grać tak, jak on. Jakoż okazało się niebawem, że i ona posiadała wielki talent muzykalny, a odkąd zaczęła się uczyć grać na fortepianie, czyniła zadziwiające postępy. Czy to był wpływ Chopina? Bądź co bądź, muzyka była tym tematem, który w rozmowach poruszali najczęściej, a nigdzie nie było im tak dobrze, jak przy fortepianie, przy którym on wtajemniczał ją w różne arkana swej sztuki, a ona słuchała z przejęciem, pełna podziwu i uwielbienia dla swego młodziutkiego mistrza. A on, czy był zadowolony z tej swojej pierwszej uczennicy? Bardzo.

Przepadał za jej towarzystwem, a najszczęśliwszym się czuł, gdy byli sami, gdy im nikt nie przeszkadzał gawędzić i muzykować.

Tak samo było na wsi, w Służewie, dokąd zapraszany przez rodziców Maryi, gdy nadeszły wakacye, jeździł razem z jej braćmi, a gdzie, otoczony sielską poezyą pól i wspaniałego parku, oddychając atmosferą wielkopańskiej rezydencyi, spędzał po parę tygodni, szczególniej rad z towarzystwa panny Maryni, z którą sympatyzował coraz bardziej. Razem biegali po ogrodzie, razem jeździli na spacery, razem przypatrywali się żniwom, razem bywali w kościele, razem się bawili wieczorami, ale najwięcej czasu poświęcali muzyce. Były to piękne chwile w życiu Chopina; to też nie zapomniał do końca życia, jak się czuł szczęśliwym i wesołym przy boku „owej Maryni, z którą się to w Przennego domu za dawnych czasów po pokojach goniło“ [1]).

Nie gorzej, choć inaczej, bawił się w Szafarni, gdzie mu czas schodził w miłem towarzystwie kolegi szkolnego, Dominika Dziewanowskiego, i jego dwóch sióstr. Z nimi to redagował wesołego *Kuryera Szafarskiego*, urządzał „zgromadzenia muzyczne“, na których, wobec „kilkunastu osób i półosóbek“ popisywał się, jako „pan Pichon“, swą grą na fortepianie, a że go dobry humor stale nie opuszczał w Szafarni, o tem świadczy jeden z jego listów do „Wilusia“ Kolberga, datowany d. 19 sierpnia 1824. „Ja się też wcale nieźle bawię, a nietylko ty jeździsz na koniu, bo i ja umiem na nim siedzieć. Nie pytaj, czy dobrze, ale umiem, przynajmniej tak, iż koń powoli gdzie chce idzie, a ja, jak małpa na niedźwiedziu, na nim ze strachem siedzę. Dotąd nie miałem jeszcze przypadku zlecenia, bo koń mnie nie zrzucił, ale... może kiedy zlecę, jeżeli mu się spodoba. Muchy mi często na wyniosłym nosie siadają, ale to mniejsza, bo to jest prawie zwyczajem tych natrętnych zwierzątek. Komary mię gryzą, ale i to mniejsza, bo nie w nos. Biegam po ogrodzie, a czasem chodzę. Chodzę do lasu, a czasem jeżdżę, notabene nie na koniu, lecz w bryczce, w koczu lub w ka-

---

[1]) Z listu Chopina do Feliksa Wodzińskiego, cytowanego w książce Szulca *Fr. Chopin i jego utwory muzyczne*, na str. 288.

recie. Z takiemi jednak honorami, że zawsze na *tyle* siadam, a nigdy na *przodku*".

Wróciwszy do Warszawy, wszystkie chwile wolne — po za szkołą i konserwatoryum — poświęcał swej ukochanej sztuce, pracując nad wyrobieniem sobie mechanizmu, któryby mu pozwalał z łatwością pokonywać wszelkie trudności techniczne w grze fortepianowej. Z zapałem również oddawał się kompozycyi. Że nie pracował napróżno, że to, co pisał, zyskiwało aprobatę znawców, a przedewszystkiem „kochanego pana Elsnera", za tem przemawia jego *Rondo C-moll*, które, w tym roku, jako *Opus 1*, dedykowane pani rektorowej Linde, ukazało się nakładem warszawskiej księgarni Brzeziny. Jednocześnie cieszył się coraz większem powodzeniem w najpierwszych salonach stolicy, a sława jego, jako fortepianisty, który nietylko grał i komponował, ale szczególniej improwizował zadziwiająco pięknie, urosła tak dalece, że raz po raz proszono go, aby brał udział w koncertach, na cele dobroczynne, ażeby je swem wystąpieniem uświetniał. Dnia 27 maja i 10 czerwca 1825 r., na koncertach w wielkiej sali konserwatoryum, urządzonych przez Józefa Jawurka, na jednym grał *Koncert F-moll* Moschelesa, na drugim zaś, ku ogólnemu zachwytowi licznie zgromadzonej publiki, a nawet korespondenta najpoważniejszej z gazet muzycznych wiedeńskich, improwizował na nowym, świeżo wynalezionym instrumencie w rodzaju organów, zwanym *aelomelodykonem*. Na tymże instrumencie, ustawionym w kościele ewangelickim, grał „jako najlepszy w całem mieście fortepianista" przed cesarzem Aleksandrem, który właśnie, z powodu sejmu, otwartego w dniu 13 maja, bawił w Warszawie. Monarcha, zadowolony z niepospolitej gry 15-letniego młodzieńca, obdarzył go kosztownym pierścieniem brylantowym.

III.

Gdy nadeszło lato roku 1826, wybrała się pani Chopin z Fryckiem i dwiema córkami, Ludwiką i Emilią, do Reinertz na Szląsku. „Dwa tygodnie już (pisze stamtąd Chopin do Wilusia Kolberga) piję serwatkę z wodą tutejszą i niby, jak mówią, mam trochę lepiej wyglądać, mam niby tyć, a temsamem lenieć... Rano, najpóźniej o godzinie 6-ej, wszyscy chorzy przy źródle. Tu dopiero nędzna dęta muzyka z kilkunastu karykatur w rozmaitym guście złożona, na czele których chudy fagocista, z osiodłanym, zatabaczonym nosem, przestraszający wszystkie damy, przygrywa wolno spacerującym *Kur-Gästom...*" W tak wesołym nastroju, pijąc po obiedzie po dwie szklanki *Lau-Brunn'u*, spacerował po górach, a często zachwycony widokami dolin, z niechęcią schodził, „czasami na czworakach". W ogóle dni całe schodziły mu na bezczynności, na spacerach, na przyjemnych gawędkach. „Co się tyczy tutejszych obyczajów, takżem się do nich przyzwyczaił, że nie rażą mi już oczu. W początkach dziwno mi było, iż w ogólności na Szląsku kobiety więcej od mężczyzn pracują, ale że sam teraz nic nie robię, więc mi łatwo na to przystać". Gdy pisał jednak, że nic nie robi, to nie znaczyło to, ażeby się zaniedbywał w muzyce, a kiedy się zdarzyło, że w Reinertz, na kilka dni przed jego wyjazdem stamtąd, umarła jakaś pani, która tu przybyła z dwojgiem dzieci i służącą, i kiedy skromny fundusz, jaki zostawiła, nie pozwalał na opędzenie kosztów pogrzebu, on, dowiedziawszy się o tem, zdecydował się dać koncert na dochód ubogich sierót. Koncert ten, wobec natłoczonej sali Kurhauzu, odbył się w dniu 16 sierpnia, a zarówno pod względem materyalnym, jak i artystycznym, powiódł się nadzwyczajnie [1]).

Mniej świetnie poszły Chopinowi, w czerwcu r. 1827, ostateczne egzaminy w liceum: wprawdzie zdał je wszystkie, tak, iż otrzymał patent z ukończenia szkoły, lecz nie otrzymał nagrody, jak lat poprzednich. Był to dowód, że coraz bardziej zaabsorbowany muzyką, nie miał głowy do nauki, do uczenia się rzeczy suchych, do których znajomości wogóle nie wiele przywiązywał wagi. Za to w konserwatoryum, do którego pilnie uczęszczał na lekcye Elsnera, czuł się, jak ryba w wodzie, zwłaszcza że między kolegami, sposobiącymi się, jak on, do

---

[1]) Na pamiątkę tego koncertu umieszczono z czasem w sali Kurhauzu w Reinertz (zamienionego później na teatr) tablicę z napisem: „W tej sali Fryderyk Chopin w d. 16 sierpnia r. 1826 dawał swój pierwszy (!) koncert publiczny na rzecz dwu sierót". W r. 1897 z inicyatywy p. Magnusa, koncert ów upamiętniono także pomnikiem Chopina, wzniesionym w pobliżu teatru. Odsłonięcie pomnika odbyło się nadzwyczaj uroczyście.

artystycznego zawodu, nie znalazł ani jednego, co by mu był zawistnym, co by zazdrościł jego wziętości. „Talent bowiem Chopina, zarówno w grze na fortepianie, jakoteż w kompozycyi, był tak wielki, tak stanowczo ponad innemi górujący, że mimowolnie chylono przed nim głowy, przyszłego mistrza w nim przeczuwając“.

ROZDZIAŁ III.

„Szopenek“ (1827—1830).

W Strzyżewie. U Radziwiłła. I. Tryb życia w Warszawie. Rok 1827—1828. Lato w Strzyżewie. II. Dwa tygodnie w Berlinie. Dwa dni w Poznaniu. W powrocie do domu. II. Waryacye z *Don Juana*. Utwory z orkiestrą. Teatr i życie w atmosferze muzycznej. Hummel i Paganini w Warszawie. Okazya do podróży. IV. Wyjazd z Warszawy. Podróż. W Wiedniu. Stosunki towarzyskie. Dwa koncerty. W Pradze Czeskiej. W Dreznie. Wycieczka do Töplitz. V. Z powrotem w Warszawie. Żałosny nastrój. Wyjazd w Poznańskie. Raj z dwiema Ewami. „Trzeba komponować“. Dwa koncerty w Warszawie. Kawiarnia *Pod Kopciuszkiem*. Sejm w Warszawie. Henrietta Sonntag. VI. W Poturzynie. Teatroman. „Kilka bezdusznych rzeczy“. Myśli o wyjeździe za granicę. Koncert w Teatrze Narodowym. 2 listopada 1830.

Uwolniony z pęt szkolnych, kiedy nadeszło lato, pojechał w Poznańskie, do Strzyżewa, do Wiesiołowskich. Stąd zrobił wycieczkę do Gdańska, a że Antonin, letnia rezydencya księcia Antoniego Radziwiłła, namiestnika W. Ks. Poznańskiego, a przytem autora muzyki do *Fausta*, znajdował się w niedalekiem sąsiedztwie Strzyżewa, więc zbliżył się i do tej magnackiej rodziny... Zaproszony do Antonina, z przyjemnością oddychał jego atmosferą muzyczną, do czego także w niemałym stopniu przyczyniało się miłe towarzystwo dwóch księżniczek, Elizy i Wandy. Jakoż wspomnienie, które wywiózł z pałacu w Antoninie, bardzo wypadło na korzyść utalentowanego księcia-kompozytora...

I.

Stanąwszy z powrotem w Warszawie, zabrał się do komponowania *Tria* na fortepian, skrzypce i wiolonczelę, ażeby

je z czasem zadedykować dostojnemu twórcy muzyki do arcydzieła Goethego. Jednocześnie pisał coraz nowe rzeczy, fortepianowe głównie, gdyż odtąd muzyka stała się jego najgłówniejszem zajęciem. „Znaczna też liczba utworów muzycznych, albo już ukończonych, albo w pierwotnych zarysach na ostateczne opracowanie przeznaczonych, zalegała teraz jego fortepian. Elsner, najbliższy świadek artystycznego życia Fryderyka, kompetentny sędzia jego muzycznych kreacyi, radził rodzicom nie zwlekać dłużej z obraniem zawodu, do którego natura tak bogato go uposażyła. Talent Fryderyka, w jego przekonaniu, sięgał daleko po za sfery zwyczajnym ludziom dostępne. Nie ulegało już wątpliwości, iż on będzie wielkim artystą. Jego zapał do sztuki, uderzające postępy w grze na fortepianie, jego nieustanna twórcza praca i tej pracy zachwycające pięknością i oryginalnością owoce, zniewoliły w końcu rodziców do zgodzenia się na to, czemu już przeszkodzić nie było w ich mocy. Fryderyk więc został artystą“. Jako taki, po za godzinami, spędzanemi w konserwatoryum i w domu, najwięcej obracał się w sferach stojących w bliższym lub dalszym związku z muzyką, a więc w fabryce fortepianów Buchholca, gdzie całemi godzinami grywał na nowych instrumentach, w księgarni Brzeziny, gdzie przeglądał wszystkie nowości muzyczne, wieczorami zaś, o ile nie miał jakiego zaproszenia (a miał ich aż nadto), chodził do *Teatru Narodowego*. Samo się przez się rozumie, że z największem upodobaniem chodził na opery, choć w ogóle był nadzwyczajnym amatorem teatru. Niestety, ówczesny warszawski nie stał tak wysoko, ażeby zadowolnić jego wymagania. Zwłaszcza opera, począwszy od orkiestry, a skończywszy na solistach, niemało pozostawiała do życzenia, nie mówiąc już o samym gmachu teatralnym, najwięcej pozostawiającym do życzenia, gdy chodziło o wentylacyę i oświetlenie. Chopin jednak, któremu przedewszystkiem chodziło o sztukę, darował by tropikalny upał w sali widzów, gdyby to, co się działo na scenie, mniej zasługiwało na krytyczne uwagi, gdyby śpiewaczki nie opuszczały wszystkich trudniejszych ustępów lub ich sobie nie ułatwiały po swojemu, a śpiewacy nie trzymali się tej samej metody. Wiele o tem było zawsze mowy w kawiarni *Pod Kopciuszkiem* na Placu Krasińskim w pobliżu gmachu teatralnego, gdzie o pewnych godzinach schodziło się wszystko, co

stało w bliskim związku ze sztuką Melpomeny. Bywał tu także i Chopin, o ile chciał się zobaczyć z Solivą, Elsnerem, Kurpińskim i niektórymi śpiewakami, tudzież o ile miał ochotę popatrzeć na Ludwika Osińskiego, lub posłuchać facecyi autora *Momusa*, (największy śmiech wzbudzających wówczas, gdy godziły w romantyków). Jeżeli pragnął spotkać się z przedstawicielami tych ostatnich, pomiędzy którymi liczył wielu serdecznych przyjaciół, wtedy szedł na róg Koziej i Krak. Przedm., do kawiarni Brzezickiej, w której gromadziła się młoda Polska: Ign. Dobrzyński, Konst. Gaszyński, Stef. Witwicki, Nabielak, Bohdan Zaleski, Maurycy Mochnacki. Z nimi miał sobie najwięcej do powiedzenia, z nimi lubił włóczyć się po mieście, po Powiślu, z nimi też, gdy się wszyscy zeszli w mieszkaniu Mochnackiego, przemuzykował i przepoetyzował niejedną noc aż do świtu. Poeci deklamowali wiersze, on i Mochnacki grali na fortepianie, i tak płynęły godziny, o których z czasem, po latach, tak pisał Bohdan Zaleski:

Stefanie, serce mdleje,
Warszawscy dwaj muzycy,
Tych nocy czarodzieje,
Szopenek i Maurycy.

Byłyć to sławne gody!
Muzycy i wieszczowie
Od zdroju żywej wody
Ku Polsce lali zdrowie!

Była to rzeczywiście interesująca epoka, rzekłbyś przedświt poezyi polskiej. Najwięksi z naszych poetów, Mickiewicz, Słowacki, Zaleski, Goszczyński, właśnie rozpoczynali swą literacką karyerę, a największy poeta tonów, Chopin, oddychając tą ożywczą atmosterą romantyzmu, sypał, jak z rękawa, coraz nowemi kompozycyami. Oto, co pisze w tej mierze, w liście z d. 9 września 1828 r. do Tytusa Wojciechowskiego, świeżo po powrocie ze Strzyżewa, gdzie „całe lato“ przepędził: „W Strzyżewie przerobiłem owe *Rondo C-Dur* na dwa fortepiany; dzisiaj go próbowałem z Ernemannem u Buchholtza, i dosyć się dobrze wydało. Myślimy go kiedy grać w Resursie. Co się tyczy nowych moich kompozycyi, nic nie mam, prócz jeszcze niezupełnie skończonego *Tria G-moll*, zaczętego wkrótce po twoim wyjeździe. Próbowałem pierwsze

Allegro z akompaniamentem. Myślę, że to *Trio* podobny los spotka, co moją *Sonatę* i *Waryacye* (z *Don Juana*): już są w Wiedniu (u wydawcy Haslingera): pierwsza jako od ucznia Elsnerowi przypisana. Skarbek jeszcze nie wrócił. Jędrzejewicz zostaje na dłuższy czas w Paryżu. Zapoznał on się tam z Sowińskim fortepianistą, który mi też parę słów napisał, oświadczając, że radby się ze mną listownie wprzód poznać, nim przyjedzie do Warszawy, że należąc do redakcyi *Revue musicale* przyjemnie było by mu mieć niektóre wiadomości o stanie muzyki w Polsce, o sławnych w tej sztuce Polakach, o ich życiu, i t. d., do czego mięszać się nie myślę. Odpiszę mu, że nie do mnie takie rzeczy należą, że nie mam jeszcze sądu godnego dziennika paryskiego, gdzie same dojrzałe zdania mieścić się powinny...“ Dowód to, że już i do Paryża zaczęły zwolna dochodzić echa rozgłosu Chopina, jakim się cieszył wśród swoich.

II.

Tymczasem nadarzyła mu się sposobność pojechania do Berlina. Wybrał się razem z dobrym znajomym rodziców swoich, profesorem Uniw. Warsz. Jarockim, jadącym nad Sprewę, ażeby tam wziąć udział w zjeździe przyrodników, zwołanym przez Humboldta. Wyjechano d. 9 września 1828 r. „W drodze nie było tak źle, jak się z początku zdawać mogło; a lubo w drążkowych pruskich dyliżansach dużo się pieprzu natłukło, jednakże na dobre mi to wyszło, jak widzę, bom zdrów i bardzo zdrów. Nasze podróżne towarzystwo składało się z jednego prawnika Niemca, zamieszkałego w Poznaniu, a odznaczającego się ciężkiemi żartami, i tłustego agronoma, którego już dyliżanse (albowiem wiele podróżował) wykształciły. Taka była nasza kompania aż do ostatniej stacyi przed Frankfurtem, gdzie nam przybyła jakaś niemiecka Korynna, pełna *achów, jaów, najów*, słowem, istna romantyczna pupka. Ale i to bawiło, zwłaszcza, że się przez całą drogę gniewała na swego sąsiada prawnika. W Berlinie zajechano do oberży *Zum Kronprinz*, mającej to dobrego, że w niej był wcale niezły fortepian, z którego Fryderyk, przez cały czas swego pobytu nad Spreą, ku najwyższej admiracyi gospodarza, korzystał po parę godzin dziennie. Berlin mu się

niebardzo podobał, jako miasto: wydał mu się „zadużym“. Jeszcze mniej podobały mu się Berlinki. „Stroją się, to prawda, ale szkoda tych pociętych pysznych muszlinów na takie lalki irszane“. Kongres uczonych naturalistów, którzy na nim przeważnie robili komiczne wrażenie karykatur, także mu nie zaimponował, o ile z Jarockim bywał na jego posiedzeniach. Wogóle starał się na nich bywać jak najmniej, bo go nie bawiły. Wolał oglądać osobliwości miasta, jak gabinet zoologiczny, bibliotekę, muzea, „łazić i gawronić się po najpiękniejszych ulicach i mostach“, a nadewszystko wchodzić w styczność ze sferami muzycznemi, począwszy od dwóch fabryk fortepianów, gdzie próbował różne instrumenty, a skończywszy na miejscowych teatrach, do których, o ile śpiewano jakąś operę, chodził co wieczor. „Codzień dają coś nowego w teatrze. Co większa, słyszałem już jedno *Oratorium* w *Singacademie*, *Corteza* Spontiniego, *Il matrimonio segreto* Cimarozy, *Kolportera* Onslowa“. Nadto był na *Freischütztu*, a na jednem posiedzeniu w *Singacademie*, gdzie mu się udało dostać wyborne miejsce, widział i słyszał, co było można. „Spontiniego, Zeltera, Mendelsohna widziałem, lecz z żadnym nie mówiłem, bo nie śmiałem się sam rekomendować“.

Po dwutygodniowym pobycie w Berlinie, zaproszony przez arcybiskupa Wolickiego, udał się dyliżansem, ze swoim towarzyszem i opiekunem, do Poznania, gdzie miał odwiedzić także ks. Radziwiłła. Oczywiście, że na wieczorach, które spędził w gościnnym domu Namiestnika, nie obeszło się bez muzyki. Jakoż wykonał tam, ku najwyższemu zadowoleniu wytwornego audytoryum, kilka *Sonat* Haydna, Beethovena i Hummla, akompaniował księciu, gdy ten grał na wiolenczeli, a z Klingohrem, metrem młodych księżniczek, grał na cztery ręce.

Z podróży tej, która jako „waguska“ bardzo była przyjemną, wyniósł, wracając do domu, do swoich, nadzwyczaj dodatnie wspomnienie; a jeśli, nasłuchawszy się dobrej muzyki w Berlinie, skorzystał niemało, jako artysta, to niemniej mógł być dumnym z drobnej lecz niezmiernie miłej przygody, jaka mu się przytrafiła w powrocie stamtąd, na jednej ze stacyi pocztowych. Było tak. Wypadło czekać na konie, a że w sali dla przejezdnych, będącej i restauracyjną zarazem, znalazł się jaki taki fortepian, Chopin więc, ujrzawszy go, zaczął

grać, improwizować. Grał tak pięknie, że niebawem sala napełniła się słuchaczami. Wszyscy słuchali w skupieniu. Gdy powstał od fortepianu, jakiś stary Niemiec, podszedłszy do niego, rzekł głęboko wzruszony: „Ja sam, panie, jestem starym i doświadczonym nauczycielem muzyki, ale oddałbym dziesięć lat życia, żebym mógł grać tak, jak ty!“

III.

We dwa miesiące po swym powrocie do Warszawy, w liście do Wojciechowskiego z d. 27 grudnia, donosił mu Chopin, co następuje: „*Rondo à la Krakowiak* skończone w partyturze. Introdukcya oryginalna, więcej niż ja cały z bajowym surdutem. Ale *Trio* jeszcze nie skończone. Na górze w naszym domu jest już urządzony pokoik mający mi służyć ku wygodzie... Tam mam mieć stary fortepian, stare biurko, tam ma być kąt schronienia dla mnie... Od tygodnia nic nie skomponowałem godnego ani dla Boga ani dla ludzi. Latam od Anasza do Kaifasza i dziś jestem u Wizegerodowej na wieczorze, skąd jadę na drugi do panny Kickiej. Wiesz, jak to wygodnie, kiedy się spać chce, a tu proszą o improwizacyę“. Tak było ciągle. Mimo to, choć mu warszawskie życie towarzyskie zabierało prawie wszystkie wieczory, nie ustawał w pracy kompozytorskiej, a do konserwatorium, na wszelkie popisy i koncerty, chodził z jeszcze większym zapałem, niż dawniej, kiedy sam kształcił się pod Elsnerem. Teraz przychodził tu, jako sławny fortepianista, jako młody mistrz, jako widz i słuchacz, a zarazem i jako sędzia tych, co zamierzali wstąpić na artystyczną drogę.

Ale to nie był wystarczający powód, dla którego 18-letni *maëstro* tak sobie upodobał popisy uczniów i uczennic konserwatoryum. Był inny jeszcze, psychicznej natury, a datujący się od kwietnia r. 1829, w którym to miesiącu, na jednym z popisów, na estradę wystąpiła panna Konstancya Gładkowska, najzdolniejsza z pośród swych koleżanek z klasy śpiewu. Co pewna, to, że była bardzo piękną jasnowłosą blondynką, że miała prześliczne ciemno-niebieskie oczy, ocienione ciemnemi rzęsami i brwiami, i że niekoniecznie potrzebowała zaśpiewać, ażeby sobie podbić całe audytoryum. Cóż dopiero, gdy zaśpiewała, gdy się okazało, że ją natura obdarzyła nietylko

zachwycającą urodą, ale i pierwszorzędnym talentem. Jakoż wzbudziła ogólny zachwyt, objawiający się frenetycznemi oklaskami, i podobno, że tylko jeden Chopin stał nieporuszony, nie bijąc brawa. Za to się zakochał, jak Romeo: z tą różnicą, że Szekspirowski kochanek odrazu wyznał swą miłość, a on nie mógł się zdobyć nawet na to, ażeby się zbliżyć do swej Giulietty, ażeby do niej przemówić. Kochał się w niej, marzył o niej, korzystał z każdej okazyi, gdy ją mógł widzieć lub słyszeć, ale się trzymał zdaleka, nie śmiejąc zapoznać się ze swym ideałem. Śniła mu się po nocach, była mu natchnieniem, gdy siadał do fortepianu, o niej myślał, gdy pisał swoje przepiękne *Adagio* z *Koncertu E-moll*, lecz jej nie poznawał osobiście, nie miał odwagi.

Tymczasem zdążył słyszeć Hummla i Pagininiego, którzy w tych czasach koncertowali w Warszawie, a wkrótce po koncercie ostatniego, w końcu lipca, wybrał się „w wesołej kompanii“ kilku kolegów, Celińskiego, Hubego, Maciejowskiego i innych, do Wiednia.

IV.

Pierwszem miastem, w którem się na dni kilka zatrzymano po drodze, był Kraków, a starożytny ten gród, pełen pamiątek narodowych, ogromnie „zajął“ Chopina. Niemniej, aniżeli dawna stolica Piastów i Jagiellonów i jej „piękne okolice“ podobał mu się Ojców ze swemi „prawdziwemi pięknościami“, z Pieskową Skałą i słynną Grotą, w której niegdyś ukrywał się Łokietek.

Wiedeń, do którego zajechali *separatwagenem* „szczęśliwie, wesoło, zdrowo, doskonale, nieledwie że wygodnie“, również się spodobał młodemu kompozytorowi. „Tyle mię oszołomił, zadurzył, omamił, że dwa tygodnie przeszło siedząc bez litery z domu, żadnej nie czułem tęsknoty“. Przyczyniało się do tego wesołe towarzystwo kolegów, z którymi mieszkał w jednym hotelu, razem jadał obiady, razem bywał w teatrach, razem oglądał muzea, etc., ale były jeszcze inne ważniejsze tego przyczyny. Oto poznano się na nim odrazu, tak, iż trawestując Cezarowe *veni vidi vici*, mógł śmiało powiedzieć o sobie, że przyjechał, zagrał i zwyciężył. Ledwo się przedstawił kilku wybitniejszym osobistościom ze świata

muzycznego wiedeńskiego, jak Haslinger wydawca, Schuppanzigh skrzypek, i Würfel dyrektor Kärtnerthorteatru, do których miał listy polecające od Elsnera, i ledwo im dał się poznać, jako fortepianista, zaraz, oczarowani jego cudną grą, jęli go namawiać, ażeby wystąpił z koncertem, że „Wiedeń dużo by stracił, gdyby wyjechał, nie dawszy się słyszeć". Były to dla niego, powiada, rzeczy niepojęte. Wcale się nie spodziewał, ażeby mógł zrobić taką furorę! „U Hussarzewskich byłem raz: stary się entuzyazmował grą moją i na obiad prosił. Na obiedzie było dużo wiedeńczyków i jakby się z nimi zmówił, wszyscy mi kazali grać publicznie. Stein chciał mi natychmiast dać jeden z instrumentów do domu, a potem na koncert, gdybym go dał... Tutejszy Żurnalista p. Blahetka, którego poznałem u Haslingera, także mi każe występować. *Waryacye* im się strasznie podobają. Blahetka powiada, żem wirtuoz pierwszego kalibru, iż między Moschelesa, Herza, Kalkbrennera liczyć mię potrzeba..." Odurzony temi pochwałami, wahał się zrazu, ale ostatecznie dał się namówić: postawił wystąpić publicznie.

Wystąpił dwa razy w sali Kärtnerthorteatru, d. 11 i 18 sierpnia. Oba koncerty powiodły się znakomicie, choć na pierwszym było mało osób. Za to ci, co byli, wyszli zachwyceni. „Na próbie orkiestra tak źle akompaniowała, że *Rondo* przemieniłem na *Freie Phantasie*. Skorom się na scenie pokazał, dostałem brawo; po odegraniu każdej waryacyi takie były oklaski, żem nie słyszał *tutti* orkiestry. Po skończeniu tyle klaskano, iż musiałem drugi raz wyjść i ukłonić się. *Freie Phantasie* lubo nie tak szczególniej mi się udała, jednakże silniej jeszcze bito brawo... Improwizowałem na temat *Białej Damy*", a „moje parterowe szpiegi zaręczają, że aż skakano na ławkach", przyjaciele moi bowiem i koledzy „rozstawili się po kątach dla słuchania rozmaitych zdań i krytyk. Celiński może powiedzieć, jak mało nagan słyszano... Powszechny jednakże głos jest, że za słabo grałem, a raczej za delikatnie. Spodziewam się tego zarzutu w dzienniku, zwłaszcza, że córka redaktora wali strasznie po instrumencie..." Tymczasem ogromnie urósł w oczach rzeczoznawców, a szczególniej podobał się miejscowej noblesie, w tej liczbie hr. Lichnowskiemu, „największemu przyjacielowi Beethovena". Nie mógł się go dość nachwalić, zaprosił na herbatę, przedstawił żonie,

córce. Po drugim koncercie, na którym już było pełno, entuzyazm osiągnął jeszcze wyższy stopień. „Trzy razy brawo się wznawiało, gdym się ukazał na scenie. Mojem *Rondem* ująłem sobie wszystkich z profesyi muzyków. Zacząwszy od kapellmajstra Lachnera, aż do stroiciela fortepianów, dziwią się piękności kompozycyi. Wiem, iż podobałem się damom i artystom. Gyrowetz, stojący blisko Celińskiego, krzyczał i bił brawo... Uczonych i czułych ująłem. Nikt mię tu za ucznia brać nie chce. Blahetka powiedział, że się niczem tyle nie dziwi, jak, że ja się w Warszawie tego nauczyłem".

Ten Blahetka, redaktor wiedeńskiej *Gazety muzycznej*, która po koncertach Chopina umieściła o nim entuzyastyczny artykuł, miał także córkę-fortepianistkę, ową, co to tak „waliła strasznie po instrumencie". Na imię miała Leopoldyna, a choć jej gra nie bardzo podobała się Chopinowi, to nie mógł tego powiedzieć o jej ujmującej powierzchowności. To też zaprzyjaźnił się z nią, ona zaś, rozmarzona jego *Waryacyami*, wcale się z tem nie kryła przed nim... Niestety, nie znalazła oddźwięku w jego sercu, bo już kochał inną... Kiedy wyjeżdżał z Wiednia, czule żegnany przez nią, dała mu swoją kompozycyę z własnoręcznym podpisem na pamiątkę, „a ojciec jej kazał mi uściskać papę, mamę, i powinszować takiego syna".

„Po wielkich kuksach i kołataniach w *Eilwagenie*", stanął Chopin, d. 21 sierpnia, wraz z kolegami swymi, w Pradze Czeskiej. Zatrzymał się trzy dni, a choć wszystko zwiedzał „piorunem", to jednak, jak sam przyznawał, niemało skorzystał z tej krótkiej bytności w stolicy Wacława, w której doznał bardzo miłych wrażeń. Przyczynił się do tego głównie sławny Hanka, do którego jeden z towarzyszów Chopina miał list polecający od senatora Hubego. „Musieliśmy się w jego książkę, poświęconą odwiedzającym Muzeum pragskie, a szczególne jego względy mającym, wpisać", przyczem Chopin wpisał mu skomponowanego na poczekaniu *Mazura* do słów Maciejowskiego. Po obejrzeniu Muzeum, którego zbiory nie mogły się nie podobać Chopinowi i jego towarzyszom, Hanka ofiarował się im na przewodnika po mieście. „Nie będę się rozpisywać, gdzie nas wodził, po jakich ślicznych widokach: braknie mi miejsca na opisywanie wspaniałego katedralnego kościoła ze srebrnym św. Janem Nepomu-

cenem, pięknej kaplicy Wacława, wykładanej ametystami i innemi drogiemi kamieniami... jak przyjadę to opowiem". Tymczasem, dzięki kilku listom polecającym, które mu dano w Wiedniu, zapoznał się z głównymi przedstawicielami muzyki czeskiej, z Pixisem między innemi, a u Pixisa poznał się także ze słynnym fortepianistą Klenglem, który im przez dwie godziny grał swoje *Fugi*. „Ja nie grałem, bo mię nie proszono".

Z Pragi, gdzie mu Klengel dał list polecający do nadwornego kapelmistrza Morlacchi'ego, udał się Chopin ze swoją „wesołą kompanią" do Toeplitz. Tutaj znalazł kilku znajomych Polaków, a po dniu spędzonym na oglądaniu samej miejscowości, która mu się wydała „śliczną", i jej okolic, między innemi pałacu Wallensteina w Dux, na wieczór, zamiast do teatru, dał się zaprowadzić do miejscowego zamku, do księstwa Clary, gdzie zastał takie towarzystwo: „Jakiś książe austryacki, jakiś angielski kapitan, kilku młodych elegantów, podobno także książąt austryackich, i jeden jenerał saski, nazwiskiem Leiser, strasznie orderowy i z kresą na twarzy". Po herbacie proszono Chopina, ażeby „raczył" usiąść do fortepianu. Usiadł i, stosownie do życzenia trzech młodych księżniczek, improwizował na temat z *Mojżesza* Rossiniego. Zachwycił wszystkich, a jen. Leiser, po uprzejmej rozmowie, dowiedziawszy się od niego, że jedzie do Drezna, dał mu bilet do barona von Friesen, polecając go, jako „jednego z najznakomitszych artystów, jakich mu się słyszeć zdarzyło".

Z tak podchlebną rekomendacyą, gdy się znalazł nad Elbą, skorzystał zarówno z niej, jak i z listu Morlacchiego. Ostatni zaprowadził go do panny Pechwel, uchodzącej za pierwszą fortepianistkę w Dreznie. Była to niezmiernie miła i wykształcona osoba, tak, iż z wizyty u niej, zarówno jak z jej „dobrej" gry, wyszedł niemniej zadowolony, niż nim był poprzedniego wieczora, który spędził w teatrze, na pierwszem przedstawieniu *Fausta* Goethego. „Okropna ale wielka fantazya". Z Drezna zrobił wycieczkę do Saskiej Szwajcaryi, a wyjeżdżał zachwycony „mnóstwem piękności" stolicy Saksonii, szczególniej entuzyazmując się dla „cudnej" galeryi obrazów. Żałował tylko, że mu operę włoską „z przed nosa wzięto".

V.

Dnia 18 września był już „pan Frycek" (jak go nazywali Polacy w Dreznie) z powrotem w domu rodzicielskim. W jakim nastroju? Nie ulega wątpliwości, że z odbytej podróży nie mógł być niezadowolonym, zwłaszcza, że go już doszły wysoce pochlebne głosy prasy wiedeńskiej o jego dwóch koncertach. Mimo to był smutny, a trawiony „nieznośną tęsknotą" nie mógł sobie miejsca znaleść. Za granicą, oszołomiony natłokiem wciąż nowych wrażeń, nie miał czasu zbyt się oddawać myślom o pannie Gładkowskiej, z chwilą jednak, gdy znowu czuł jej bliskość koło siebie, gdy ją zaczął spotykać, słuchać jej śpiewu, patrzeć na jej wdzięczną postać, a nie śmiał przemówić do niej, zapoznać się z nią, zaczynał się szarpać wewnętrznie, doświadczać melancholii i spleenów. „Nie uwierzysz (pisał d. 3 października do Wojciechowskiego), jak dla mnie teraz Warszawa smutna; gdyby nie to, że rodzina mi uprzyjemnia pobyt, tobym w niej nie wysiedział. O, jakże to przykro nie módz przyjść do kogo, podzielić się z nim smutkiem, radością; jak to niegodziwie, kiedy coś cięży na sercu, a niema gdzie ciężaru złożyć! Wiesz, do czego to alluzya. Fortepianowi gadam to, cobym tobie nieraz chciał powiedzieć..." W Warszawie krył się ze swojem uczuciem, nietylko przed Konstancyą, ale i przed znajomymi. Męczyło go to, i dlatego na seryo zaczął przemyśliwać o nowej wycieczce za granicę. „Sam zapewne uznasz potrzebę mego powrotu do Wiednia, nie dla panny Blahetki, o której — o ile mi się zdaje — pisałem, bo ja już, może na moje nieszczęście, mam mój *ideał*, któremu wiernie, nie mówiąc z nim, już pół roku służę, który mi się śni po nocach, na którego pamiątkę skomponowałem *Adagio* do mojego *Koncertu*, który mi inspirował tego *Walca* dziś rano, co ci posyłam. Uważaj jedno miejsce + oznaczone. O tem nikt nie wie, prócz ciebie. Jakże by mi było słodko zagrać ci go, najdroższy Tytusie!" Może było by mu jeszcze przyjemniej, gdyby go mógł zagrać samej Konstancyi, która z pewnością zrozumiałaby, co jej chciał wyznać tym walcem...

Tymczasem, po za tym swoim światem marzeń, żył w świecie muzycznym, bywał co piątek na wieczorach mu-

zykalnych u Kesslera, na których grywano kwartety, tria, etc., a że na tych zebraniach popisywano się także solową grą i śpiewem, więc kto wie, czy tu nie bywała i Konstancya, jako należąca do najlepiej śpiewających Warszawianek...

Cóżkolwiekbądź, d. 20 października wypadło Chopinowi znów na czas jakiś opuścić dom rodzicielski: pojechał do Wiesiołowskich w Poznańskie, stamtąd zaś, zaproszony przez księcia Radziwiłła, udał się do Antonina, gdzie zabawił cały tydzień. „Co się tyczy mojej osoby, byłbym tam siedział, dopóki by mnie nie wypędzono, lecz moje interesa, a szczególniej mój *Koncert* jeszcze nie skończony, a oczekujący z niecierpliwością ukończenia *Finału*, przynaglił mię do opuszczenia tego raju. Były tam dwie Ewy, młode księżniczki; nadzwyczaj uprzejme, dobre, muzykalne i czułe istoty. Sama stara księżna wie, że nie urodzenie czyni człowieka, a tak zobowiązuje swojem obejściem się, że niepodobna jej nie uwielbiać. On, wiesz, jak lubi muzykę; pokazywał mi swojego *Fausta* i wiele rzeczy znalazłem tak dobrze pomyślanych, a nawet genialnych, żem się nigdy po *Namiestniku* tego spodziewać się nie mógł". Ale najbardziej podobała mu się księżniczka Wanda. „Niby jej przez ten czas lekcye dawałem. Młode to, 17 lat, ładne, i — dali pan! aż miło było ustawiać paluszki!" Z idealnie piękną, trochę sentymentalną księżniczką Elizą, także był nadzwyczaj dobrze: narysowała aż dwa jego portrety w swoim sztambuchu, „o ile mi ludzie gadali, bardzo podobne", a tak z nim lubiła rozmawiać, tak się dawała rozmarzać jego muzyce, zwłaszcza jego *Polonezowi F-mol*, żo go jej musiał grywać codzień. Nadmienić wypada, że 20-letnia księżniczka Eliza śpiewała prześlicznie, tak, iż Chopin z rozkoszą słuchał jej śpiewu, mimowoli porównywując go ze śpiewem panny Gładkowskiej. O niej bowiem, pomimo całego czaru księżniczek Radziwiłłówien, myślał nieustannie, zarówno w Antoninie, jak w Strzyżewie, gdzie napisał „parę *Etudów*". W Antoninie napisał dla księcia i księżniczki Wandy *Alla Polacca* z wiolonczelą. „Niema w niem nic prócz błyskotek, do salonu, dla dam".

Wróciwszy do Warszawy, wziął sobie za godło „trzeba komponować i pisać na gwałt", co mu nie przeszkadzało zresztą, ani kochać się w pannie Gładkowskiej, ani myśleć o nowej podróży artystycznej, obliczonej na dwa lata: najprzód do Włoch, a potem do Paryża. Chodziło o to, aby się ostatecznie wykształcił w swoim zawodzie. Człowiekiem, który do tego najbardziej namawiał rodziców Fryderyka, był Elsner. Chodziło tylko o zebranie potrzebnego funduszu.

W tym celu zdecydował się Chopin dać w sali *Teatru Narodowego* dwa koncerty „pożegnalne". Odbyły się one, wobec przepełnionej widowni, d. 17 i 22 marca 1830 r. Na pierwszym wykonał swój *Koncert F-moll* i *Pot-pourri* z pieśni polskich, przyczem orkiestra odegrała dwie uwertury, z *Leszka Białego* Elsnera i z *Cecylii Piaseczyńskiej* Kurpińskiego, a pani Mejerowa odśpiewała Waryacye Paera; na drugim zaś, po *Symfonii* Nowakowskiego, odegranej przez orkiestrę „par complaisance", znowu wykonał swój *Koncert* oraz *Rondo à la Krakowiak*, a na zakończenie, po grze Bielawskiego, skrzypka, i śpiewie Mejerowej, improwizował na temat pieśni ludowej *W mieście dziwne obyczaje*. „Pierwszy koncert lubo był pełny, bo od trzech dni naprzód ani lóż ani krzeseł nie było, nie zrobił na publiczności takiego wrażenia, jakiegom się spodziewał. Pierwsze *Allegro* dla małej liczby przystępne, zyskało brawo, ale jak mi się zdaje dlatego, że trzeba się było dziwić, co to jest? i niby udawać konesserów. *Adagio* i *Rondo* największy efekt sprawiło. Tu już szczere oklaski dały się słyszeć. Ale co *Potpourri* z polskich pieśni, zupełnie podług mnie celu nie dopięło. Dano brawo, lecz w tem przekonaniu, że trzeba mu dać na odchodnem znać, żeśmy się nie nudzili. Kurpiński zauważył tego wieczora nowe piękności w moim *Koncercie*; Ernemann był zupełnie kontent, a Elsner żałował, że mój fortapian głuchy i że basowych pasaży słychać nie było..." Wogóle zdawało się wszystkim, że grał za cicho, za delikatnie, że przydałoby się cokolwiek więcej energii. „Domyśliłem się, gdzie ta energia siedzi i na drugim koncercie, nie na swoim ale na wiedeńskim grałem instrumencie. Dopiero jeszcze liczniej niż na pierwszym zgromadzona publiczność zadowolnioną była; dopiero oklaski, pochwały, że każda nutka jak perełka wybita i zaokrąglona, że na drugim lepiej grałem, niż na pierwszym i t. p. Kiedy mię wywoływano, krzyczano, ażebym jeszcze trzeci dał koncert. *Rondo Krakowiak* ogromny efekt zrobiło; cztery razy ponawiano oklaski. Kurpiński żałował, żem na wiedeńskim fortepianie nie grał *Fantazyi*... Elsner powiedział, że po drugim koncer-

cie dopiero mogą o mnie sądzić...“ Niezależnie od tego, zarówno po pierwszym, jak po drugim osądzono go nadzwyczaj pochlebnie. Wszystkie dzienniki pomieściły obszerne sprawozdania, a przesadzały się w pochwałach i wynajdywaniu dodatnich epitetów i superlatywów. Mochnacki w *Kuryerze Polskim* wychwalił go „pod niebiosa“, a *Dziennik Urzędowy* poświęciwszy kilka stronnic panegirykowi na cześć młodego koncertanta, przepowiadał, że jak Niemcy Mozartem, tak z czasem Polska Chopinem szczycić się będzie. W tymże tonie napisały sprawozdania inne dzienniki, z jednym wyjątkiem *Gazety polskiej*, która, zdaniem Chopina, „najsprawiedliwiej odjęła mu to, co *Dziennik Urzędowy* w egzageracyi przydał“. Najbardziej podobało się *Adagio* z *Koncertu:* gdzie się obrócił, wszędzie mu je przypominano z entuzyazmem. „Przysłano mi do domu ogromny bukiet. Ktoś wiersze na moją cześć ułożył; z tematów mojego *Koncertu* układają Mazury i Walce. Brzezina prosił o mój portret, ale już tego nie mogłem pozwolić, bo by za wiele było naraz i nie mam ochoty, żeby we mnie masło obwijano, jak to się z portretem Lelewela stało“. I pod względem dochodu oba koncerty powiodły się znakomicie: po odtrąceniu kosztów bowiem przyniosły 8000 złp. czystego dochodu — suma bardzo wysoka jak na owe czasy. Zdaniem Dmuszewskiego, który o nich pisał w *Kuryerze Warszawskim*, jak Warszawa Warszawą „fortepianowego koncertu nie było jeszcze tak licznego jak pierwszy, a tembardziej jak drugi“.

Odtąd sława Fryderyka, jako fortepianisty i kompozytora, była ustalona; nie dziw więc, że jeszcze bardziej, niż dotychczas, stał się pożądanym w towarzystwach, że nie mógł podołać zaproszeniom na wszelkie rauty, *jour fixe'y*, święcone, prywatne koncerty, etc., że wszędzie, gdzie się zjawił, spotykał się z banalnemi komplementami, które zawsze kończyły się prośbą gospodyni lub gospodarza, aby zagrał, aby zaakompaniował do śpiewu, aby improwizował, aby się podpisał w sztambuchu. Nadto stał się doskonałym tematem dla dziennikarzy, którzy widząc, że publiczność radośnie wita artykuły o Chopinie, zaczęli o nim wypisywać i drukować „rozmaite awantury“, co jego zrazu bawiło, a w końcu gniewało i nudziło. „Wczoraj spotkałem Dmuszewskiego i pocieszną mi nowinę powiedział, że jakiś *Sonet* do mnie w *Kuryerze* umieści. Prosiłem go na miłość Boską, aby tego nie robił. Już wydrukowany! odpowiedział z uśmiechem, myśląc, żem się zapewne radować powinien z zaszczytu jaki mię spotkał. Oj te przyjacielskie przysługi! Znowu będą mieli pole do szydzenia ci, którym zawiniłem... Już nie chcę czytać, co ludzie o mnie piszą, ani słuchać, co gadają“.

W takich warunkach przystąpił do komponowania *Koncertu E-moll*, po którym spodziewał się, że będzie znacznie lepszy od pierwszego, że jeśli tamten zdołał spodobać się pannie Gładkowskiej, to ten powinien ją jeszcze bardziej usposobić na korzyść swego autora. O, bo na jej zdaniu, na jej wrażeniu, zależało mu więcej, niż na najkompetentniejszych sądach znawców i muzyków z powołania. Nie zepsuty pochwałami, ani zbałamucony niesłychanem powodzeniem w najwytworniejszych towarzystwach, gdzie był wyróżniany przez najpiękniejsze kobiety, pozostał wierny swemu „ideałowi“; od chwili zaś, gdy się zapoznał z Konstancyą, gdy mógł rozmawiać z nią, a w rozmowie czynić dość przezroczyste aluzye do swojej miłości, był zakochany namiętniej, niż kiedykolwiek. Ona też, ze swemi błękitnemi oczyma, które go prześladowały dniem i nocą, stała się jego Muzą, jego natchnieniem, gdy komponował, a *Koncert E-moll*, który miał już w maju prawie na ukończeniu, nie stanowił wyjątku pod tym względem. „*Adagio* jest w tonie *E-dur;* charakter jego romansowy, spokojny, melancholiczny; powinno czynić wrażenie miłego spojrzenia w miejsce, gdzie stawa tysiąc lubych przypomnień na myśli. Jest to jakieś dumanie podczas pięknej wiosennej nocy, oświetlonej księżycem. Dlatego też akompaniament skrzypcowy jest z surdynkami. Może to będzie źle, ale czemu się wstydzić źle pisać pomimo swej wiedzy? Skutek dopiero błąd okaże. W tem zapewne miarkujesz właściwość moją do czynienia źle pomimo woli. *Tak też pomimo woli wlazło mi coś do serca i ciśnie*, chociaż się tem *lubuję i pieszczę... Może to źle?*“ A w innym liście, ciągle do Wojciechowskiego, który był wtajemniczony w jego sercowe przejścia, pisał w ten sposób, wyraźnie pijąc do swej miłości ku Konstancyi: „Ileż to razy biorę ja noc za dzień, a dzień za noc! Ileż razy żyję we śnie, a śpię w dzień, gorzej jakbym spał, bo zawsze jednakowo czuję. A zamiast sił nabrać w tem odurzeniu, tak jakby we śnie, jeszcze się

więcej męczę i słabnę... Proszę cię, kochaj mnie!“ Czyżby się kochał bez wzajemności?

Tymczasem Warszawa żyła życiem podnieconem uroczystościami z powodu pobytu cesarza Mikołaja, przybyłego na otwarcie sejmu; był ogromny zjazd arystokracyi ze wszystkich dzielnic kraju; odbywały się świetne przedstawienia w teatrze, bale publiczne, koncerty. Koroną tego świetnego sezonu, świetnego i pod względem artystycznych produkcyi, były koncerty słynnej Henrietty Sonntag, królowej wszystkich ówczesnych śpiewaczek europejskich. Chopin nie opuścił żadnego z jej koncertów, a z każdego wychodził zachwycony. „Panna Sonntag nie jest piękną, ale miłą do najwyższego stopnia. Czaruje wszystkich swoim głosem, który nie bardzo jest wielkim, lecz nadzwyczajnie wyrobionym... Śpiewała nam Mercadantego aryę bardzo, bardzo, bardzo ładnie! *Waryacye* Rodego, mianowicie ruladową ostatnią, przedobrze... Śpiewała także aryę z *Freischütza*, nadcudnie! Ma ona niektóre broderye zupełnie w nowym rodzaju, któremi ogromne robi wrażenie, nie takie jednak jak Paganini... Zdaje ci się, że ona chucha na parter jakąś wonią z najświeższych kwiatów i pieści rozkoszami głosu, głaszcze, lecz rzadko wzrusza do płaczu...“ Dzięki księciu Ant. Radziwiłłowi, który jako reprezentant dworu pruskiego, także w tym czasie bawił w Warszawie, udało się Chopinowi poznać osobiście tę „dobroć uosobioną“, jak w jednym ze swych listów nazywa głośną śpiewaczkę, a nawet pozyskać jej szczerą sympatyę. Przez cały czas, jak bawiła nad Wisłą, bywał u niej, w jej mieszkaniu, a szczególniej lubił ją odwiedzać w takich godzinach, kiedy dla innych była niewidzialną, uważał bowiem, że „w rannym negliżu jest milion razy ładniejszą i przyjemniejszą, niż w sukni galowej w wieczór, chociaż i ci, co jej rano nie widzieli, przepadają za nią“. On, który miał ten przywilej, że ją mógł oglądać i w rannym negliżu, także się nie taił ze swem uwielbieniem dla niej, nietylko jako dla śpiewaczki, lecz i jako dla wielce powabnej kobiety. Stanowczo był pod jej urokiem, a w liście do Wojciechowskiego, od początku do końca pisanym pod wrażeniem jej śpiewu i osoby, z przyjemnością powtarzał to, co mu „sama ślicznemi swojemi usteczkami mówiła...“ „Nie uwierzysz, ile miałem przyjemności w poznaniu

bliższem tego *posłańca boskiego*, jak ją słusznie niektórzy zapaleńcy tutejsi nazywają...“

VI.

Lato spędził częściowo w Poturzynie u Tytusa Wojciechowskiego, częściowo w Żelazowej Woli u hr. Skarbka. U tego ostatniego był z rodzicami.

Wróciwszy do Warszawy, co już nastąpiło w końcu sierpnia, odrazu wpadł w wir atmosfery teatralnej, ponieważ ideał jego, z którym go już wiązał najserdeczniejszy stosunek przyjaźni, przygotowywał się do pierwszego debiutu na scenie *Teatru Narodowego*, w operze Paëra *Agnes*. Skoro to nastąpiło wreszcie, Fryderyk był „zadowolony“: wszystko powiodło się jaknajlepiej, a jemu serce przedtem z pewnością nie biło słabiej, niż uroczej debiutance. „Lepiej jest ona na scenie, niż w sali. Nie mówię o grze tragicznej wybornej, bo nie ma co powiedzieć... Jak frazuje, tobyś się rozkoszował; cieniuje głosem przecudnie, a chociaż z początku głos jej się trząsł ze wzruszenia, jednak później bardzo śmiało śpiewała... Na końcu przywołano ją i rzęsistemi okryto oklaskami“. Można być pewnym, że do tych, co najbardziej klaskali *con amore*, należał i Chopin.

Odtąd nie opuszczał żadnego przedstawienia, w którem występowała Gładkowska, uczucie zaś, jakiem płonął ku niej, stawało się gorętszem z dniem każdym, bo je podsycała wzajemność... Kochał i był kochany. Cóż dziwnego tedy, że mu było dobrze w Warszawie, że z przykrością myślał o wyjeździe za granicę, który go czekał niebawem, że starał się nie myśleć o tej chwili, w której miał „porzucić wszystkie swoje skarby“, że mu się nie uśmiechał ani Wiedeń, ani Włochy: przeczuwał, że tam „będzie skazany na wieczne wzdychania“, na szalone tęsknoty za ukochaną. Choć coprawda, to i teraz, pomimo, że z nią widywał się ciągle, częściej był smutny i stęskniony, aniżeli wesoły. „Co to jest, gdy serce obałamucone!... Nie zawsze człowiek szczęśliwy; może tylko kilka chwil w życiu przeznaczonych mu jest, więc czemuż odrywać się jeszcze od tych złudzeń, które i tak długo trwać nie mogą... Powiadam ci, że już mię szały napadają mocniejsze niż zwykle. Jeszcze siedzę, nie mam dosyć

sił do wybrania dnia na wyjazd. Myślę, że opuszczam Warszawę po to, żebym nigdy już nie wrócił do domu; myślę, że jadę umrzeć, a jak to przykro musi być umierać gdzieindziej, pomiędzy obcymi! Jak mi to okropnie będzie widzieć zamiast rodziny, zimnego doktora albo najętego sługę przy łożu śmiertelnem! Wierzaj mi, że nieraz poszedłbym szukać przy tobie spokojności; lecz ponieważ to być nie może, wychodzę z domu, idę na ulicę, tęsknię i wracam do domu, po co? po to, żeby znowu tęsknić!...“ Dopiero wtedy pozbywał się swojej tęsknoty i melancholii, gdy był przy Konstancyi, gdy się lubował jej wdzięcznym widokiem, gdy w jej błękitnych oczach czytał niekłamaną miłość dla siebie. Przy niej zapominał o wszystkich troskach, a upojony szczęściem chwili obecnej, nie myśląc o przyszłości, dawał się porywać słodkiej teraźniejszości. W dni świąteczne spotykali się na nabożeństwie u Bernardynów, a te wspólne modlenia się przyprawiały go aż o chwilową utratę przytomności umysłu. „Jeżeli coś mam przed oczyma, co mnie zajmuje, mogą mnie i konie roztratować. O mało nie miałem tego przypadku onegdaj na ulicy. Uderzony jednem niespodzianem *ideału* mojego spojrzeniem w kościele, właśnie w chwili jakiegoś lubego odrętwienia, natychmiast wybiegłem na ulicę i z kwadrans nie wiedziałem, co się ze mną stało. Taki czasem waryat się ze mnie robi, że aż strach!“ Wobec podobnego rozmiłowania się w pięknej śpiewaczce, nie dziw, że mu niełatwo przychodziło oznaczyć dzień wyjazdu. Nieraz o tem mówił z Konstancyą, a był to tak smutny temat dla obojga, że woleliby go nie poruszać wcale. Ale jak tu nie mówić o rzeczy, która im wciąż stała przed oczyma, o której myśl prześladowała ich we dnie i w nocy. Już zawczasu przewidywali, jak to rozstanie będzie smutnem, o tem zaś, jak je sobie wyobrażał Chopin, świadczy jego list z końca września, pisany do Wojciechowskiego: „Mam szczerą chęć, po cichu, nie mówiąc nic nikomu, zdecydować się wyjechać od soboty za tydzień, bez pardonu, *mimo lamentów, płaczu, narzekania i padania mi do nóg*. Nuty w tłomok, *wstążeczka na sercu*, dusza na ramieniu, i w dyliżans. Łzy jak groch padać będą ze wszech stron, wzdłuż i wszerz miasta, od Kopernika do Zdrojów, od Banku do kolumny króla Zygmunta, a ja, jak kamień, zimny i nieczuły, śmiać się będę z biednych ludzi, co mnie tak czule żegnać

będą...“ Na tle tej sceny przedewszystkiem należy sobie wyobrazić zapłakaną postać Konstancyi, bo zarówno ta „wstążeczka na sercu“, którą miał od niej, jak i owe „lamenty, płacze, narzekania i padania do nóg“ odnoszą się do jej osoby...

Tymczasem, odkładając tę żałosną chwilę z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, a mając „w sercu największy upał“, nie ustawał w pracy kompozytorskiej, pisał cały szereg „bezdusznych rzeczy“, zyskujących sobie, pomimo owej „bezduszności“, najwyższe pochwały znawców. Kiedy ukończył *Rondo* swego drugiego *Koncertu*, po próbie orkiestrowej, namówiony przez Elsnera, Kurpińskiego i Solivę, zdecydował się zagrać go publicznie w teatrze.

Stało się to w dniu 11 października, a wszystko powiodło się jak najlepiej. Sala była natłoczona, a koncertant wcale się a wcale nie bał. „Grałem tak, jak sam jestem... Goernera *Symfonia* zaczęła; potem moja mość wykonała 1-sze *Allegro E-moll Koncertu*, które jak z płatka wywinąłem na Streicherowskim fortepianie. Brawa były znaczne. Soliva kontent; dyrygował z powodu swojej *Aryi z chórem*, którą panna Wolków, ubrana niebiesko i wyglądająca jak aniołek, odśpiewała. Po tej Aryi *Adagio* i *Rondo* nastąpiło, poczem pauza między pierwszą a drugą częścią. Gdy wrócono z bufetu i poschodzono ze sceny, gdzie wielu przybyło dla zdania mi korzystnego raportu o sprawionym efekcie, zaczęła się 2-ga część od uwertury z *Wilhelma Tella*. Soliva doskonale nią dyrygował i wielkie zrobiła wrażenie... Dyrygował potem Aryą panny Gładkowskiej, biało z różami na głowie, do twarzy prześlicznie ubranej, która odśpiewała *Cavatinę* z *La donna del Lago* z recitativem, tak, jak (oprócz aryi w *Agnes*) nic jeszcze nie śpiewała. Znasz to *O, quante lagrime per te versai*... Powiedziała „*tutto detesto*“ a do *u* dolnego tak, że Zieliński utrzymywał, że to jedno *u* tysiąc dukatów warte! Po odprowadzeniu panny ze sceny (bo on ją wprowadzał i wyprowadzał pod rękę!), wziąłem się do odegrania *Potpourri* z polskich pieśni. Tą razą i ja się zrozumiałem, i orkiestra się zrozumiała, i parter się poznał! Teraz dopiero ostatni *Mazur* wzbudził duże brawo, po którym (zwyczajna facecya), wywołano mię i — ani razu nie syknięto, a ja miałem czas

cztery razy się ukłonić, ale już po ludzku, bo mię Brandt nauczył... Jeszcze nigdy z orkiestrą tak mi się spokojnie grać nie zdarzyło. Fortepian bardzo się miał podobać, a panna Wołków jeszcze bardziej".

A panna Gładkowska? Ona ze wszystkiego podobała mu się najbardziej: bardziej nawet, niż entuzyastyczne artykuły we wszystkich dziennikach, omawiające jego koncert, a w których, porównywano go z najznakomitszymi europejskimi wirtuazami, przepowiadając, że Polska szczycić się nim kiedyś będzie, jako „jednym z największych wykonawców i kompozytorów w Europie". Ale nieodurzony temi pochwałami, z żalem spoglądał na przygotowania do swej podróży, które już dla niego czyniono w domu. „Już kuferek do drogi kupiony, już cała wyprawa gotowa, partycye poprawione, chustki do nosa obrębione, nowe spodnie przymierzone, i t. d. i t. d. Tylko się żegnać... a to najprzykrzejsze!..." Rozpacz go ogarniała na myśl o tem pożegnaniu; nie mógł się uspokoić, bo jeśli mu było przykro rozstawać się z rodzicami, z siostrami i wszystkimi przyjaciółmi, to największym smutkiem przejmowała go konieczność rozstania się z Konstancyą. W końcu zaczynał być zły na samego siebie, że tak się dał spętać temu fatalnemu uczuciu. „Nie uwierzysz, jak mię tu już wszystko niecierpliwi, nudzi, *z powodu przeklętego bałamuctwa, na które nic poradzić nie mogę!*" Tak upłynęło dwa tygodnie. Z Konstancyą widywał się ciągle, a kiedy przyszedł do niej, żeby jej rękę uściskać po raz ostatni, ażeby jej powiedzieć *Do widzenia* i, mówiąc to, dręczyć się przeczuciem, że już nie zobaczą się nigdy, dała mu pierścionek, jako pamiątkę na drogę, pierścionek, którego nigdy nie miał zdjąć z palca...

Tymczasem wyprawiono ucztę pożegnalną na jego cześć, ucztę, na której mu ofiarowano puhar srebrny z odpowiednim napisem, napełniony ziemią rodzinną. Wzruszony tą symboliczną pamiątką, Chopin rozpłakał się...

W końcu nadszedł pamiętny dla niego dzień 2 listopada 1830 roku. Okryty błogosławieństwem rodziców, żegnany łzami i czułemi uściskami sióstr, Chopin wsiadł do dyliżansu... Na Woli, już za rogatką miejską, oczekiwało go liczne grono przyjaciół z Elsnerem na czele. Kiedy nadjechał, chór mę-

ski, złożony z jego kolegów w sztuce, oraz z uczniów konserwatoryum, odśpiewał rzewną kantatę Dmuszewskiego i Elsnera, skomponowaną umyślnie w tym celu. Po wysłuchaniu jej, wzruszony do łez, raz jeszcze pożegnawszy się ze wszystkimi, artysta ruszył w drogę...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

NA OBCZYŹNIE

1830—1849.

ROZDZIAŁ I.

Dola i niedola (1830—1837).

W Kaliszu. I. Tydzień we Wrocławiu. Drezno. W Wiedniu. II. Wybuch rewolucyi listopadowej. Psychika Chopina. Nowe mieszkanie. Korespondencya z Matuszyńskim. Boże Narodzenie r. 1830. Niepowodzenie. III. Koncert w Monachium. W Stuttgardzie. Wiadomość o wzięciu Warszawy. *Etiuda Cis-moll.* Nastrój. *Preludia Nr. 2 i 24.* Wyjazd do Paryża. Znajomości z muzykami. Kalkbrenner. Atmosfera muzyczna. Emigracya. Przekonania polityczne. Wspomnienia Konstancyi. Położenie materyalne. Projekty wyprawy po złote runo. Wieczór u Rotschilda. IV. Nowe mieszkanie. Stosunki towarzyskie. Występy publiczne. Wycieczka do Aquisgranu. U Mendelsohna. Koncerty z udziałem Chopina. V. Podróż do Karlsbadu. Rodzina Wodzińskich. Marya Wodzińska. W Dreznie. *Walc F-moll.* Rok 1836. W Maryenbadzie. „Moja bieda“. U Roberta Schumanna.

W Kaliszu, gdzie go daremnie namawiano, ażeby się dał słyszeć publicznie, doczekał się przyjazdu Tytusa Wojciechowskiego. Dalszą podróż miał odbywać z nim razem. Dnia 5 listopada, pożegnawszy gościnny dom doktora Helbicha, u którego przez cały czas stał kwaterą, puścił się w dalszą drogę.

I.

Przybywszy nazajutrz „jaknajwygodniej i przy najlepszej pogodzie“ do Wrocławia, zaraz po przebraniu się w hotelu *Pod złotą gęsią* poszedł do teatru, w którym odtąd, o ile dawano operę, bywał co wieczór. Przypomniawszy się kapelmistrzowi Schnablowi, bardzo cenionemu kompozytorowi muzyki kościelnej, przez niego zapoznał się z miejscowemi ko-

łami muzycznemi, przyczem nie spostrzegł się nawet, jak się dał nakłonić do publicznego wystąpienia. Było to na próbie koncertu w resursie. „Zastałem tam nielicznie zebraną orkiestrę, fortepian i jakiegoś Referendaryusza amatora, nazwiskiem Hellwig, gotującego się do odegrania pierwszego *Es-Dur Koncertu* Moschelesa. Nim on zasiadł do instrumentu, Schnabel, co mię od czterech lat nie słyszał, prosił, ażebym spróbował fortepian. Trudno było odmówić, siadłem i zagrałem parę waryacyi. Schnabel się niezmiernie ucieszył, pan Hellwig stchórzył, inni zaczęli mię prosić, ażebym wieczorem dał się słyszeć. Szczególniej Schnabel tak szczerze nalegał, że nie śmiałem staremu odmówić". Skończyło się na tem, że grał tego wieczoru *Romans* i *Rondo* ze swego drugiego *Koncertu*, a po frenetycznych oklaskach improwizował jeszcze „dla znawców" na temat *Niemej z Portici*. Powodzenie miał ogromne.

Po kilku dniach pobytu we Wrocławiu, z którego, dzięki miłym znajomościom, „nie bardzo się chciało wyjeżdżać", podążył do Drezna. Tutaj wpadł w prawdziwy wir towarzyskiego życia, przeplatanego muzyką. „Jak rano z domu wyszedłem, nie wracałem aż na noc. Łapano mię wszędzie, jak psa". Wieczory spędzał w teatrze, w operze włoskiej, a przez cały dzień biegał z wizytami t. j. kazał się nosić w lektyce, lektyki bowiem, używane zamiast dorożek, jeszcze stanowiły osobliwość ówczesnej stolicy saskiej. Nic go tak nie bawiło, jak lokomocya „w tem dziwnem pudle". „Przez drogę śmiałem się z siebie, gdy mię nieśli owi liberyjni lektykarze", a nieraz miał ochotę wybić dno tej barokowej dorożki. Zaraz pierwszego dnia, ledwo przyjechał, kazał się zanieść do panny Pechwell. Jej zawdzięczając, pierwszy wieczór spędził w miejscowej resursie. Wszedłszy do sali, spostrzegł mnóstwo dam, które siedząc po obu stronach ośmiu ogromnych stołów, robiły pończochy. „Nietyle brylanty, jakie je zdobiły, ile druty w oczach mi migały. Bez żartów, liczba dam i drutów była tak wielką, że można się było obawiać jakiego przeciwko mężczyznom powstania, które chyba okularami i łysinami przyszłoby zwalczać..." Na takiem tle, wśród szczęku drutów i filiżanek od herbaty, wysłuchał uwertury z *Fra Diavola* i gry panny Pechwell, poczem, pogadawszy z tym i z owym, udał się do teatru, na końcowe akty *Niemej z Portici*. Następnego dnia odwiedził fortepianistę Klengla, który wysłuchawszy jego obu *Koncertów*, powiedział mu, że wprawdzie wiele słyszał o nim, ale nie spodziewał się, ażeby w nim poznał takiego wirtuoza. „Nie były to czcze komplementa, bo mi się przyznał, że nie lubi nikomu podchlebiać, ani też przymuszać się do pochwał". Wogóle z Klenglem widywał się dużo, bo był to dzielny muzyk, od którego „można się coś nauczyć..." Na podobny epitet zasługiwał także Morlacci, kapelmistrz nadworny, z którym odnowił znajomość, będąc obecnym na próbie jego słynnych *Nieszporów*, śpiewanych przez rozgłośnych sopranistów neapolitańskich, Sassarolli i Tarquinio. Na skrzypcach grał słynny Rolla, do którego Chopin miał kartkę od Solivy. Pozatem obracał się wyłącznie w polskich kołach. Na „polskim obiedzie" u pani Pruszakowej, na którym byli sami Polacy, poznał jen. Kniaziewicza, a ten, zachwycony jego grą, oświadczył mu, że „jeszcze żaden fortepianista tak miłego na nim nie uczynił wrażenia". U pani Dobrzyckiej grał w obecności księżniczek saskich, a pani Niesiołowska, do której go zaprowadził Klengel, „koniecznie Szopskim nazwać go chciała", obawiając się, żeby Francuzi nie chcieli kwestyonować jego polskości. Nadto był na obiedzie u Komarów, u których nietylko sam grał na fortepianie, ale akompaniował do śpiewu Delfinie Potockiej... W ten sposób upłynął mu cały tydzień. „Prócz galeryi obrazów nic powtórnie w Dreznie nie oglądałem".

Pierwszego grudnia już był w Wiedniu, w hotelu *Zur Stadt London*. Przedewszystkiem odwiedził nakładcę Haslingera, ile, że był ciekawy dowiedzieć się, co słychać z jego *Sonatą* i *Waryacyami*, które mu już przed kilku miesiącami przysłał z Warszawy. Haslinger przyjął go bardzo grzecznie, okazało się jednak, że ani *Sonaty* ani *Waryacyi* nie wydrukował. Czemu? „Haslinger mądry: on mię grzecznie ale lekko chce zbywać, żebym mu darmo kompozye dawał... Ale już się *darmo* skończyło, teraz *bezahl!*" bestyo!" Swoją drogą popsuło mu to trochę humor na początek. Szczęściem dowiedział się od Würfla, że o jego *Koncercie F-moll* dużo i pochlebnie pisano w wiedeńskich dziennikach, i gdyby nie fatalność, że do Wiednia przyjechał z „opuchłym nosem", z pewnością okazywał by więcej animuszu w zaglądaniu w oczy „ładnym Niemkom", i bardziej by się kwapił z oddawaniem listów polecających, których miał mnóstwo. Ze

znajomych odwiedził tylko Hussarzewskich. Zresztą cały pierwszy tydzień zeszedł mu „na nosie, na teatrze i Graffie“, u którego codzień grywał po obiedzie „ażeby sztywne palce z drogi trochę rozruszać“. Jednocześnie myślał o daniu koncertu, od chwili zaś, gdy się zapoznał z „paradnym“ i niezmiernie sympatycznym doktorem Malfattim, nadwornym lekarzem cesarza austryackiego, zdawało mu się, że wszedł na najlepszą drogę. Był w doskonałym humorze, zdrów i pełen wiary, a to samo mógł powiedzieć o sobie Wojciechowski, który mu towarzyszył wszędzie. Razem chodzili na operę, podziwiając cudny śpiew panny Heinefetter, razem przenieśli się do taniego hotelu *Pod złotem jagnięciem*, razem się stołowali *Pod dzikim człowiekiem*, gdzie im szczególnie smakowały *strudle*, i razem najęli mieszkanie na Kohlmarkcie, którego gospodyni a raczej pani, jakaś baronowa, „wdowa i ładna“, a wielka przyjaciółka Polaków, bardzo się podobała Fryderykowi...

II.

Nagle dowiedzieli się, że w Warszawie wybuchło powstanie. Jeszcze się nie zdążyli naradzić, jak się zachować wobec tak ważnego faktu, a już Chopin dostał list od rodziców, którzy donosząc mu, jaką atmosferą oddychają od pamiętnej nocy 29 listopada, zaklinali go na wszystko, ażeby nie wracał, ażeby nie przerywał rozpoczętej podróży. Wojciechowski nie otrzymał podobnego listu, więc nie namyślając się długo, zdecydował się wracać. Chopin się wahał, nie wiedząc, czy w podobnych wypadkach należy być posłusznym rodzicom... Tytus jednak, choć sam się szykował do drogi, jemu odradzał iść za swoim przykładem. Przez całą noc debatowali nad tem. „Pamiętasz nocną naradę w Wiedniu w przeddzień twojego wyjazdu?...“ Jakoż rozstali się nad ranem. Tytus pojechał, Chopin został. Zostawszy jednak, po paru godzinach strasznej męki, zdecydował się dopędzić Wojciechowskiego. Sumienie mówiło mu, że powinien spieszyć do Warszawy, że nie godziło się bawić w Wiedniu, gdy tam młodzież zaciągała się do wojska... Jakoż, wziąwszy extrapocztę, puścił się w pogoń za Tytusem, ażeby z nim pomimo wszystkiego zabrać się do Warszawy. Lecz gonił napróżno. Zniechęcony tą

bezowocną gonitwą, kazał zawrócić. Znalazłszy się z powrotem w Wiedniu, „przeklinał“ chwilę swego wyjazdu z kraju, a myśląc o Tytusie, upadał pod ciężarem swej dwuznacznej roli. „Wiem, żem istota najniezdecydowańsza w świecie... Gdyby nie to, że może teraz byłbym ojcu ciężarem, natychmiast bym wrócił. Przyznaj, znając moje stosunki, że po odjeździe Tytusa, zawiele razem na głowę mi spadło...“

I nie mógł się uspokoić. Zaabzorbowany polityką, podupadł na duchu, stracił dawną pogodę umysłu, nie mógł przyjść do siebie. „Mama kontenta, że mnie niema, ale ja nie kontent jestem. Stało się!“ Uważał, że zostawszy za granicą, był nie w porządku, jako Polak. „Od dnia, w którym się dowiedziałem o wypadkach w kraju, aż do tej chwili, nie doczekałem się niczego, prócz niepokojącej obawy i tęsknoty. Malfatti napróżno się stara mię przekonać, że każdy artysta jest kosmopolitą. Choćby i tak było, to jako artysta, jestem jeszcze w kolebce, a jako Polak, trzeci krzyżyk zacząłem...“ Rozdenerwowany, podobny do rozstrojonego instrumentu, trapił się swem położeniem, złorzeczył swojej doli, a zmuszony nie zaniedbywać stosunków towarzyskich, dałby wiele za to, żeby módz nie widywać się z nikim. „Wszystkie obiady, wieczory, koncerty, tańce, których mam po uszy, nudzą mię! Tak mi tu smutno, głucho, ponuro! Lubię ja to, ale nie w tak okrutny sposób! Nie mogę czynić, jak mi się podoba; muszę się stroić, fryzować, chaussować! W salonie udaję spokojnego, a wróciwszy do domu, piorunuję na fortepianie!“

W takim nastroju sprowadził się do pani baronowej Lachmanowicz, do owego mieszkania na Kohlmarkt, z tą różnicą, że zamiast na 3-em, wziął tańsze pokoje na 4-em piętrze; w takim nastroju przyjmował odwiedziny swych znajomych, w tej liczbie i Hummla, któremu musiał pozować do portretu; w takim nastroju zapoznał się i zaprzyjaźnił z genialnym 24-letnim skrzypkiem Slavikiem, który grał, jego zdaniem „jak nikt po Paganinim“; w takim nastroju wreszcie, w drugiej połowie grudnia, otrzymał list od Matuszyńskiego z Warszawy, w którym między innemi nie brakło i „pewnego peryodu“ o Konstancyi, to zaś, co mówił o niej, brzmiało bardzo pomyślnie, świadczyło bowiem, że to „czułe stworzenie“ wciąż pamiętało o swoim Frycku, wciąż dopytywało się o niego, miało żal, że do niej nie pisał... „Niemiec,

co szedł ze mną ulicą, kiedym list twój odczytywał, ledwo mię pod rękę utrzymał i nie mógł wcale pomiarkować, co mi się stało. Miałem ochotę wszystkich przechodzących łapać i całować, a tak mi było na duszy, jak jeszcze nigdy... Uspokój ją, powiedz, że póki sił starczy, że do śmierci, że po śmierci jeszcze mój popiół będzie się słał pod nogi! Ale to wszystko mało, cobyś ty mógł powiedzieć... ja napiszę! Jużbym był dawno napisał, nie męczyłbym się tak długo; ale ludzie! Gdyby to przypadkiem w cudze ręce wpadło, jej sławie szkodzićby mogło..."

W parę dni po otrzymaniu tego lubego listu od „najukochańszego Jasia" był razem ze Slavikiem na wilii u pani Bajerowej, Polki, u której lubił bywać „przez reminiscencyę", ponieważ na imię miała Konstancya, a wszystkie nuty, chustki do nosa, serwety były znaczone jej imieniem. Po wilii, przed północą, pożegnawszy Slavika, który musiał iść do kaplicy cesarskiej, udał się do katedry św. Szczepana. „Gdym przyszedł, jeszcze ludzi nie było. Nie dla nabożeństwa, ale dla przypatrzenia się o tej porze temu olbrzymiemu gmachowi, stanąłem w najciemniejszym kącie u stóp gotyckiego filaru. Nie da się opisać ta wspaniałość, ta wielkość tych ogromnych sklepień. Cicho było; czasem tylko kroki zakrystyana, zapalającego kagańce w głębi świątyni, przerywały mój letarg. Za mną grób, podemną grób! tylko nademną grobu brakowało! Ponura roiła mi się harmonia... Czułem więcej, niżeli kiedy, osierociałość moją. Chętnie poiłem się tym widokiem, aż dopóki ludzi i światła przybywać nie zaczęło..."

W drugie Święto B. N., korzystając z wolnego ranka, odpisał Matuszyńskiemu. „Przeszłego roku o tym czasie byłem u Bernardynów (z Konstancyą). Dzisiaj w szlafroku sam jeden siedzę, pierścionek (od Konstancyi) gryzę i piszę". Taki był początek listu. Oczywiście, że zaczęty, w podobnym nastroju, był przepełniony różnemi „banialukami" o *ideale*, a w całości stał się znakomitą illustracyą ówczesnego usposobienia Fryderyka. „Z nikim poufałości, ze wszystkimi grzecznie obchodzić się muszę. Mam ludzi, co mię niby lubią, co mię malują, miżdżą się, przymilają. Cóż mi po tem, kiedy pokoju nie mam? Chyba jak sobie wszystkie wasze wydobędę listy, otworzę widok Króla Zygmunta, na pierścionek spojrzę..." W tym stylu był cały list, do którego jeszcze

Chopin dołączył „bilecik" do Konstancyi. Matuszyński miał go jej wręczyć osobiście. Nadto miał się zapytać, czy życzyła by sobie mieć podobiznę swego wielbiciela. „Mój portret, o którym ty i ja tylko mamy wiedzieć, podobniuteńki; jeżelibyś myślał, że choć trochę przyjemności zrobi, przez Schucha ci go przyszlę..." Tymczasem miejsca sobie nie mógł znaleść nigdzie; myślą ciągle był w domu, w Warszawie, wśród przyjaciół i kolegów... „Czemuż nie mogę być z wami, czemuż nie mogę być choć doboszem!!! Przebacz mi za nieład w tym liście, ale piszę, jak pijany... Rodzicom powiedz, żem wesół, że mi niczego nie brak, że się bawię paradnie, że nigdy sam nie jestem. Jej to samo powiedz, jeżeli będzie drwiła! Jeżeli zaś nie, to jej powiedz, żeby była spokojna, że się wszędzie nudzę. Słaby jestem, nie piszę tego rodzicom! Każdy mię się pyta, co mi jest? Humoru nie mam..."

Ale nie brakło i innych powodów, dla których podupadł na humorze: niedość bowiem, że musiał oddychać atmosferą polityczną, w której się czuł jak ryba na piasku, że gdziekolwiek się obrócił, wszędzie słyszał głosy nieprzychylne Polakom i ich sprawie, lecz nadto przekonywał się powoli, że jego obecność w Wiedniu, jego wciąż wzrastająca sława w najwyższych sferach towarzystwa, jego wdzięk w obejściu, etc. coraz bardziej zaczynały niepokoić innych fortepianistów, którzy, zwietrzywszy niebezpiecznego współzawodnika, zaczęli intrygować przeciwko niemu, unikać go, szkodzić mu, a nawet jego salonowym powodzeniom kłaść pewne granice. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego napotykał tyle trudności w urządzeniu koncertu. Zrażony do ludzi, rozgoryczony, stracił i tę resztę zaradności, której w ogóle posiadał tak mało, i ledwo zdobył się na to, ażeby dnia 4 kwietnia wziąć udział w koncercie pani Garcia-Vestris, śpiewaczki, w wielkiej sali redutowej. Grał swój nowy *Koncert E-moll*, a choć nim zachwycił słuchaczów i krytykę, jednak nie wyzyskał tego powodzenia... Już mu opadły skrzydła! Upływały tygodnie, a on, szamocąc się w ciągłych „obawach i tęsknotach", coraz mniej myślał o daniu własnego koncertu. Co prawda, to i chwila niebardzo była po temu: z kraju dochodziły coraz smutniejsze wieści, wszędzie lała się krew, grzmiały działa... W takim czasie myśleć o koncercie, to było nad jego siły! „Co się też z wami dzieje? pisał do rodziców, coraz niespokojniejszy o nich. Śni-

cie mi się a śnicie! Będzież koniec rozlewu krwi? Wiem, co mi chcecie powiedzieć: cierpliwości! Tem się też pocieszam". Tak upłynęło kilka miesięcy. Nadeszło lato, upały, a on ciągle siedział w Wiedniu. O koncercie nie było mowy; sezon się skończył, miasto opustoszało, rozjeżdżano się na letnie mieszkania. Widząc, że nic nie wysiedzi w Wiedniu, zdecydował się pojechać do Monachium. Jakoż dnia 20 lipca, w towarzystwie swego przyjaciela Kumelskiego, opuścił stolicę Habsburgów.

III.

W Monachium zabawił kilka tygodni, a wszedłszy w stosunki z tamtejszym światem muzycznym, dał się namówić do wystąpienia z koncertem w sali Towarzystwa filharmonicznego. Koncert odbył się d. 28 sierpnia, a oprócz Chopina samego, który na nim zagrał swój *Koncert E-moll*, śpiewała panna Pellegrini, grał klarnecista Bärmann, popisywali się śpiewacy Bayer, Lenz i Harm; orkiestrą dyrygował kapelmajster Stunz. Na zakończenie Chopin improwizował na temat polskich pieśni narodowych, wrażenie zaś, jakie na publiczności zrobił cały koncert *des Herrn Chopin aus Warschau*, wypadło w najwyższym stopniu na jego korzyść. Wszyscy, niewyłączając krytyków, podziwiali w nim „mistrzowskie traktowanie fortepianu", a szczególniej ujęła słuchaczów „wdzięczna miękkość gry". Zdaje się, że i pod względem materyalnym powiódł się ten *Mittags-Concert* nienajgorzej. W każdym razie, zdaniem jednego z krytyków, publiczność, która tego dnia stawiła się w sali Tow. filharmonicznego, zasługiwała na nazwę niezwykle doborowego zgromadzenia.

Z Monachium udał się Chopin, pod koniec sierpnia, do Stuttgardu. Tutaj zbliżył się z rozgłośnym pianistą i kompozytorem Pixisem (i jego piękną Francillą) gdy nagle doszła go wieść o wzięciu Warszawy w dniu 8 września... Pod wrażeniem tej nowiny, w śmiertelnym niepokoju o swoich, o rodziców, o siostry, o Konstancyę, od których od pewnego czasu był absolutnie pozbawiony listów, nie wiedząc, co się stało z nimi, czy żyli, napisał wstrząsającą *Etiudę Cis-moll*, inaczej zwaną *rewolucyjną*, w notesie zaś, w którym zapisywał różne fakty ze swego życia, tak określił chwilowy swój

nastrój. „Przedmieścia zburzone, spalone. Jaś, Wiluś, na wałach pewno zginął... Mój biedny ojcze! Mój poczciwiec może głodny? może matce nie ma za co chleba kupić? O ojcze, takaż to pociecha na twoje stare lata! Matko, biedna cierpiąca matko, na to przeżyłaś córkę!.." I dręcząc się podobnemi widzeniami, nie zapomniał o mogile Emilii. „Powązki! Ach, czy jej grób szanowali? Zdeptany, tysiąc innych trupów przywaliło mogiłę..." Oczywiście, że i bolesne widmo Konstancyi stanęło mu w tej chwili przed oczyma. „Co się z nią dzieje?.. gdzie jest?.. biedna! Ach, życie moje, ja tu sam, chodź do mnie, otrę łzy twoje, zagoję rany teraźniejszości, przypominając przeszłość... Masz matkę? i taką złą... a ja mam taką dobrą... a może już wcale matki nie mam? Czasem tylko stękam, boleję i na fortepianie rozpaczam!" Pod wpływem tych wszystkich uczuć rozpaczy, niepokoju, czułości i przekleństwa, których w tym czasie doświadczał w Stuttgardzie, powstało tragiczne *Preludium Nr. 24*, jedno z najrozpaczliwszych, a zarazem jedno z najgenialniejszych. Szarpany najstraszniejszym niepokojem, pełen najrozmaitszych przywidzeń, z wyobraźnią podnieconą, która mu raz po raz nasuwała przejmujące obrazy i sceny, a przytem samotny, nie mający nikogo, przed kim mógłby się wywnętrzyć, wypłakać, poskarżyć, był bliski obłąkania. W dzień chodził jak błędny, po nocach nie mógł sypiać, a kiedy się kładł do łóżka, doświadczał takich uczuć. „To łóżko, do którego idę... może już nie jeden trup na niem leżał, i długo leżał, a mnie to dziś nie robi wstrętu. A cóż trup gorszego odemnie? Trup także nic nie wie o ojcu, o matce, o siostrach, o Tytusie, trup także nie ma kochanki, nie może rozmówić się z otaczającemi swoim językiem... trup taki blady jak ja, trup taki zimny, jak ja teraz na wszystko zimnym się czuję... Zegary z wież Stuttgardu biją nocną godzinę. Ileż w tej chwili trupów się na świecie narobiło? Matki dzieciom, dzieci matkom poginęły... Czemuż żyjemy takiem nędznem życiem, które nas pożera... Co komu przyjdzie z mojego bytu? Nie zdam się do ludzi, bo nie mam pysków ni łydek? A trup ma łydki? trup także nie ma łydek, więc mi niczego nie brak do matematycznego pobratania się ze śmiercią... Czy ona mnie kochała, czy tylko udawała? to sęk do odgadnienia. Tak, nie tak, palec w palec! Kocha mnie? kocha mnie pewno, nie robi, co chce!.. Ależ łzy? Tak dawno

nie płynęły? Och, długo, długo płakać nie mogłem! Jakże mi dobrze! Jak tęskno!.. Dobrze i tęskno? kiedy tęskno, to nie dobrze? a jednak miło! Jest to stan dziwny, ale i trup tak: dobrze i nie dobrze mu razem. Przenosi się w szczęśliwsze życie i dobrze mu, żałuje przeszłe opuszczać i tęskno mu. Jemu musi być tak jak mnie, kiedym skończył płakać. Było to widać jakieś skonanie momentalne uczuć moich, umarłem dla serca na moment, albo raczej serce umarło dla mnie na moment! Och, czemuż nie na zawsze! możeby mi znośniej było... Sam! Sam!.. Nie da się moja biedota opisać, ledwie ją czucie znieść zdoła!"

Z uczucia tego zrodziło się *Preludium Nr. 2.*

. . . . . .

. . . . . .

W Stuttgardzie zdecydował się jechać do Paryża. Czuł potrzebę jakiejś atmosfery oszałamiającej, a tej nie spodziewał się znaleść we Włoszech. Jakoż, kiedy zawitał nad Sekwanę, co nastąpiło już w końcu września, nie zawiódł się pod tym względem. „Paryż jest to wszystko, co chcesz: możesz się bawić, nudzić, śmiać, płakać, co ci się podoba; nikt na ciebie nie spojrzy, bo tutaj tysiące ludzi to samo robią, co ty, i każdy idzie swoją drogą". Rozejrzawszy się cokolwiek, przyczem przekonał się, że chyba nigdzie niema tylu pianistów, osłów i wirtuozów, co w Paryżu, zamieszkał przy *Boulevard Poissonière Nr. 27,* na 4-em piętrze, i zaczął oddawać listy polecające, których kilka przywiózł do niektórych przedstawicieli tutejszego świata muzycznego. Tym sposobem poznał się z nadwornym kapelmistrzem, Paërem, a przez niego z Rossinim i Cherubinim, ze słynnym skrzypkiem Baillotem, rywalem Paganiniego, i z dwoma najznakomitszymi pianistami, Hillerem i Kalkbrennerem. Ten ostatni słynął jako król wszystkich fortepianistów, a Chopin, zapoznawszy się z nim, tak był zachwycony jego grą, że postanowił uczyć się u niego. „Jeżeli Paganini jest perfekcyą, to Kalkbrenner stoi na równi z nim... Trudno ci opisać jego *calme,* jego dotknięcie czarujące, równość niesłychaną i to mistrzostwo malujące się w każdej nucie: jest to olbrzym, depczący wszystkich pianistów a tem samem i mnie". Swoją drogą, kiedy mu Chopin zagrał swój

Koncert E-moll, „olbrzym" był zdumiony, z chwilą jednak, gdy Chopin wyraził gotowość brania lekcyi od niego, oświadczył mu, że *w ciągu lat trzech* uczyni zeń „coś bardzo, bardzo znakomitego". Trzy lata! To nie tylko było trochę dużo, ale, co gorsza, groziło zatratą indywidualności i oryginalności, a to nie uśmiechało się Chopinowi. Jakoż, pomimo, że już był na paru lekcyach Kalkbrennera, po kilku tygodniach wycofał się delikatnie. Mimo to pozostał na najlepszej stopie z mistrzem, gdyż, niezależnie od tego, że wolał iść swoją własną drogą, nie będąc prowadzonym, nawet przez takiego, jak Kalkbrenner, „olbrzyma", cenił w nim, nietylko wielkiego artystę, ale i niepospolitego człowieka. „Trzeba wiedzieć, że o ile tu dla talentu Kalkbrennera mają wszyscy a wszyscy uszanowanie, o tyle jego osoby nie cierpią, bo się nie z lada kim paniebraci; a ja ci szczerze mówię, iż jest w nim coś wyższego nad wszystkich wirtuozów, com dotąd słyszał". W uznaniu tej wyższości, której w ogóle odmawiano Kalkbrennerowi, zadedykował mu swój *Koncert E-moll.*

Równocześnie poznał się i zaprzyjaźnił z Lisztem, z Mendelsohnem, a gdzie tylko nadarzyła się okazya usłyszenia dobrej muzyki, nie zaniedbywał żadnej. Prawie co wieczór bywał w teatrze, na koncertach, a oddychając tą atmosferą muzyczną, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że tylko w Paryżu można się spotkać z taką muzyką, jaką być powinna. „Zbieg mnóstwa ludzi interesujących w każdym rodzaju sztuki muzycznej jest tu do podziwienia. Trzy orkiestry: Akademii, Włochów i Feydeau, są doskonałe. Rossini jest dyrektorem wielkiej opery, która jest najlepsza w Europie. Lablache, Rubini, Pasta, Malibran, Schröder-Devrient, Santini, i t. p. zachwycają *wielki ton* trzy razy na tydzień. Neurrit, Levasseur, Derivis... podnoszą talentami swojemi Wielką Operę; Cholet, panna Casimir-Prevost, są podziwiani w Operze Komicznej. Słowem tu dopiero można się dowiedzieć, co to jest śpiew".

Tymczasem rozpoczął się napływ emigracyi, która, coraz liczniej ściągała do Paryża. Między przybywającymi znalazło się niemało kolegów i przyjaciół Chopina, co oczywiście było wielce pożądanem dla niego: mogąc widywać się z ziomkami, mogąc z nimi rozmawiać po polsku, mniej podlegał nostalgii, pomimo, że to, co mu opowiadali o ostatnich wy-

padkach w kraju, wcale nie brzmiało sielankowo. Im zawdzięczając, więcej, niż kiedykolwiek, miał sposobność do mówienia o polityce, a chociaż w ogóle polityka nie należała do jego ulubionych tematów, to jednak, przestając ze swymi rodakami-emigrantami, rad nie rad musiał brać udział w ożywionych dyskusyach politycznych. Nie była to atmosfera wesoła, bo pełna, jak powiada Mickiewicz,

> Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
> Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów,

atmosfera, gdzie jedni na drugich zwalali odpowiedzialność za poniesioną klęskę, ale mimo to trudno było, będąc Polakiem, nie dać porwać się jej zawrotnemu wirowi, zwłaszcza, że i Francuzi, po ostatniej rewolucyi lipcowej, niezadowoleni z rządów Ludwika Filipa, byli niezwykle rozpolitykowani i nastrojeni rewolucyjnie. Cóż dziwnego tedy, że i Chopin potrosze uległ tej manii politycznej, skoro nawet stary Cherubini „tylko o cholerze i rewolucyach wciąż bajdurzył". „Potrzeba ci wiedzieć, że tu każda partya polityczna inaczej się nosi (mówi się to o egzagerowanych): Karliści mają zielone kamizelki; republikanie i napoleoniści, to jest *la jenne France*, czerwone; Saint-Simoniści, czyli nowi Chrześcianie, tworzący oddzielną religią, noszą się niebiesko". On najwięcej miał skłonności do noszenia czerwono-zielonej kamizelki. „Kocham karlistów, niecierpię filipistów, sam jestem rewolucyonistą..."

Lecz nietylko Karlistów kochał, dopóki jego „ideałem" była panna Gładkowska. Choć oddalony od niej, choć powątpiewał chwilami, czy go kochała, czy tylko udawała, pozostał jej wierny. Niestety, literalnie żadnych wiadomości nie miał o niej. Stąd niepokój, smutek, tęsknota, a niekiedy i Otellowe podejrzenia. „Ach, włosy sobie wyrywam, kiedy wspomnę, że mogą o mnie zapomnieć! Ze mnie dziś *Otello!*" Nieraz sobie przypominał, jak w ogóle Konstancya podobała się mężczyznom, jak oficerowie chcieli się jej podobać, tylko ona drwiła z nich wtedy, „bom ja tam był..." Teraz jednak, gdy go nie było... Te i tym podobne przyczyny sprawiały, że choć wesoły na pozór, duszę miał pełną melancholii i spleenu. „Ach, jakżebym chciał ciebie mieć przy sobie, pisał do

Tytusa Wojciechowskiego. Nie uwierzysz, jak mi tu smutno, że nie mam komu się wyjęczyć. Wiesz, jak łatwo zabiorę znajomość, wiesz jak lubię towarzystwo ludzkie, więc też takich znajomości mam po uszy, ale z nikim, z nikim westchnąć nie mogę. Jestem zawsze, co się tyczy uczuć, w *synkopach*. Wesoły jestem powierzchownie, szczególniej, gdy się znajduję pomiędzy swoimi, ale wewnątrz coś mię morduje. *Jakieś przeczucia niedobre*, niepokój, złe sny, albo bezsenność, tęsknota, obojętność na wszystko: chęć życia, to znów chęć śmierci. Czasami jestem, jak w odrętwieniu umysłu; czuję jakiś błogi spokój w duszy; pamięć nasuwa mi obrazy, od których uwolnić się nie mogę, i to mnie dręczy nadzwyczajnie. Jednem słowem, miotany jestem męszaniną uczuć trudnych do opisania". Jeżeli owe niedobre przeczucia tyczyły się Konstancyi, to sprawdziły się niestety: panna Gładkowska została w tym czasie, na początku r. 1832, panią Józefową Grabowską, a zostawszy nią, jak przystało na żonę kupca, ustąpiła ze sceny... Można sobie wyobrazić, jakiego uczucia doznał Chopin, gdy się dowiedział o takiem zamążpójściu swego „ideału".

Ale nie brakło i bardziej pozytywnych powodów do spleenu, jak np. złe położenie materyalne, które mu się wciąż dawało we znaki, odkąd stanął na paryskim bruku. Rozchody były znaczne, zwłaszcza, że nie zawsze liczył się z groszem, a fundusze, które mu przysyłano z domu, prędko się wyczerpywały. Znając położenie rodziców, które po rewolucyi znacznie się pogorszyło pod względem dochodów, wstydził się żądać za wiele. Co robić więc? Skąd dostać pieniędzy? Przyjaciele radzili mu, żeby się dał słyszeć publicznie. Posłuchawszy ich rady, po wielu zachodach i kłopotach, które się także nie przyczyniały do optymistycznych poglądów na życie, dał koncert w Sali Pleyela. Koncert ten, odbywszy się d. 26 lutego 1832 r., pomimo współudziału takich znakomitości, jak Kalkbrenner, Baillot i inni, nie powiódł się materyalnie, przyniósł deficyt. Wprawdzie pod względem artystycznym zadowolnił najwybredniejsze gusta, a w pismach spotkał się z najpochlebniejszą oceną, ale cóż z tego, kiedy nie ściągnął tylu słuchaczów, ilu było potrzeba, ażeby przyniósł dochód: oprócz świata muzycznego, który oczywiście miał bilety gratisowe, publiczność składała się prawie wyłącznie z Polaków. Paryż jeszcze nie wiedział o Chopinie. Wszyscy byli zachwyceni jego

grą: podobno, że do tych, co klaskali z największym zapałem, należał przedewszystkiem Mendelsohn-Bartholdy. Chopin jednak, kiedy mu przyszło z własnej kieszeni pokryć deficyt, nie mógł się otrząść z przygnębienia. Wprawdzie księgarze coraz chętniej nabywali jego kompozycye, a nawet mu płacili za nie, ale płacili stosunkowo nie wiele, a krytyka niezawsze wyrażała się o nich przychylnie. Znaleźli się i złośliwi krytycy, którzy go szykanowali po prostu, a sławny Field nazywał go „talentem szpitalnym“. Wszystko to, razem wzięte, w zetknięciu z nadzwyczaj czułą i drażliwą naturą Chopina, fatalnie wpływało na jego psychikę. Zaczynał mieć dosyć Paryża. Czuł się zmęczony, przybity, a przytem nie widział wyjścia z błędnego koła kłopotów pieniężnych. W końcu wpadł na myśl, ażeby pojechać do Ameryki; może tam uda mu się zrobić majątek. Rodzice jednak, dowiedziawszy się o tym projekcie, stanowczo zaprotestowali przeciwko niemu, a na skargi Fryderyka, że w Paryżu nie widzi widoków dla siebie, odpowiedzieli, ażeby wracał do Warszawy. I to mu się nie uśmiechało, bo choć tęsknił za rodzicami, za domem, za krajem, to jednak zdawał sobie sprawę, że takiej atmosfery artystycznej, jaką miał w Paryżu, nie znajdzie nad Wisłą. Przyjaciele jego, jak Liszt, Hiller i inni, także go odwodzili od powrotu. Z drugiej strony była kwestya paszportu, którego zbyt długie przetrzymanie mogło pociągnąć najfatalniejsze skutki... Skończyło się na tem, że po długich wahaniach i rozważaniach wszelkich *za* i *przeciw*, zdecydował się jechać.

Już się gotował do drogi, gdy nagle spotkał Walentego Radziwiłła, z którym był bardzo dobrze. Gdy mu powiedział, co go skłania do wyjazdu z Paryża, książe zaproponował mu, ażeby z nim poszedł na najbliższy wieczór do Rotschilda. Chopin dał się namówić, poszedł, a kiedy na prośby gospodyni zasiadł do fortepianu, odrazu podbił sobie wszystkich. Podniecany widokiem świetnego towarzystwa, a przytem smutny i zbolały na myśl o konieczności rozstania się z Paryżem, po którym tyle się spodziewał dla siebie, grał i improwizował tak pięknie, z taką czarodziejską poezyą, że kiedy skończył, nietylko wszyscy przesadzali się w oznakach uwielbienia dla jego genialnego talentu, ale natychmiast otrzymał kilka propozycyi do dawania lekcyi w najpierwszych domach stolicy.

IV.

To rozstrzygnęło o jego losie. Zdecydował się zostać, o wyjeździe w ogóle przestał myśleć, godząc się na dobrowolną emigracyę (zresztą chciał się zaliczać do emigrantów), a że lekcyi przybywało mu coraz więcej, przyczem od samego początku nie brał mniej, niż 20 fr. za godzinę, więc w krótkim czasie stanął tak dobrze materyalnie, że mógł napisać do rodziców, aby mu nadal nie przysyłali żadnych zasiłków pieniężnych: zarabiał tyle, jako arystokratyczny *par excellence* nauczyciel muzyki, że mógł żyć na stopę wielkopańską.

Z groszem przestał się liczyć, bo za bardzo był artystą, ażeby myśleć o gromadzeniu majątku. „Jestem rewolucyonistą, zatem nic sobie z pieniędzy nie robię...“ Jakoż na każdym kroku postępował zgodnie z tą rewolucyjną maksymą. Przedewszystkiem przeprowadził się, a jego nowe mieszkanie przy dystyngowanej *Rue Chaussé d'Antin Nr. 5*, umeblowane nadzwyczaj wykwintnie, pełne różnych cacek, dzieł sztuki, gobelinów, stylowych mebli, etc. niebawem stało się jednym z najświetniejszych salonów Paryża, w którym się gromadziły najznakomitsze gwiazdy poezyi, muzyki i malarstwa, Mickiewicz, Heine, Bohdan Zaleski, Delaroche, Berlioz, Liszt, Meyerbeer, Rossini, Kalkbrenner i wielu, wielu innych, nie mówiąc już o licznych przedstawicielach polskiego wychodźtwa, którzy zawsze przez gościnnego gospodarza byli podejmowani najmilej.

Równocześnie stał się ulubieńcem i ozdobą sfer arystokratycznych, które go poprostu rozrywały pomiędzy siebie, czy to były domy polskie, jak Czartoryskich, Platerów, Komarów, czy też francuskie i kosmopolityczne, jak hr. de Pertuis, hr. d'Appony, baronostwa d'Est, baronostwa Stockhausen, i t. p. „Wszedłem w pierwsze towarzystwa, siedzę między ambasadorami, książętami, ministrami, a nawet nie wiem jakim cudem, bom się sam nie piął. Dla mnie jest to dziś rzecz najpotrzebniejsza, bo stamtąd niby dobry gust przychodzi i zaraz masz większy talent, jeżeli cię w ambasadzie angielskiej lub austryackiej słyszano; zaraz lepiej grasz, jeżeli cię księżna Vaudemont (ostatnia ze starożytnego rodu Mont-

morency) protegowała". Jednem słowem, był w modzie. Byli tacy, co patrząc na jego powodzenie w świecie, jak „wszystkim francuskom głowy zawracał", przepowiadali dowcipnie, czyniąc aluzyę do jego wyszukanej garderoby (bo ubierał się nadzwyczaj elegancko), że tylko patrzeć, jak świat ujrzy rękawiczki *à la Chopin*. Co szczególniejsze, że sobie umiał podbić nietylko płochy ród niewieści, ale i drażliwą brać artystyczną. Wszyscy przepadali za nim, zachwycali się jego grą, jego kompozycyami, przyznawali mu pierwszeństwo, uznawali swą niższość wobec jego geniuszu. „Między tutejszymi artystami mam i przyjaźń i szacunek, chociaż dopiero rok pomiędzy nimi bawię. Dowodem szacunku jest, że mi dedykują swoje kompozycye, nawet ludzie z ogromną reputacyą, wprzódy niż ja im; i tak: Pixis swoje ostatnie waryacye z orkiestrą mnie przypisał; powtóre, komponują waryacye na moje tematy. Kalkbrenner mojego mazurka *zwaryował*; uczniowie konserwatorium, uczniowie Moschelesa, Herza, Kalkbrennera, słowem artyści skończeni, biorą odemnie lekcye, stawiają mnie obok Fielda. Słowem, żebym był jeszcze głupszy, myślałbym, że jestem na szczycie mojej karyery. Tymczasem wiem, ile mi jeszcze zbywa, aby być doskonałym..."

Oczywiście, że wobec takiego powodzenia i publicznie dawał się słyszeć coraz częściej, biorąc udział w różnych koncertach. Jakoż d. 20 maja 1832, na koncercie urządzonym przez księcia de Moscova, grał swój *Koncert F-moll* z orkiestrą pod dyrekcyą Girarda. Dnia 15 grudnia t. r., wystąpił w koncercie Hillera, odegrawszy z nim i z Lisztem *Koncert na trzy fortepiany* Bacha. Wkrótce potem, uproszony przez Berlioza, wypełnił, razem z Lisztem, jeden z antraktów przedstawienia teatralnego na korzyść słynnej aktorki angielskiej, panny Smithson. Dnia 3 kwietnia 1833 r. wziął udział w koncercie braci Herzów, z którymi odegrał koncert na dwa fortepiany, grając razem z Lisztem. Nadto wystąpił jeszcze dwa razy na koncertach fortepianisty i krytyka Amadée de Moreaux, z którym wykonał jego duet na dwa fortepiany. Nie obeszło się i bez tego, że raz po raz musiał swą grą uświetniać mniejsze prywatne koncerty w różnych arystokratycznych domach, z któremi żył w przyjaźni. Raz nawet, uproszony przez Orłowskiego, wziął udział w jego koncercie w Rouen...

Mimo to jednak, choć tak rozrywany wszędzie, choć

zajęty lekcyami, których miewał po kilka na dzień, nie ustawał w pracy kompozytorskiej, chwilowo nawet, pod wpływem listu Elsnera, myślał o napisaniu opery, ale zaniechał tego projektu, czując, że nie powinien wykraczać po za granice fortepianu.

W drugiej połowie maja 1834 wypadło Hillerowi jechać do Aquisgranu na wielki koncert, który się tam miał odbyć pod dyrekcyą Riesa. Zaprzyjaźniony z Chopinem, namówił go, żeby się wybrał z nim razem, i pojechali. W Aquisgranie, na próbie zapowiedzianego koncertu, spotkali się z Mendelsohnem, który już od roku był dyrektorem orkiestry düsseldorfskiej. Naturalnie nie obeszło się bez muzyki, przyczem Chopin, zdaniem Meldensohna, okazał się najpierwszym z fortepianistów. „W jego grze jest tyle niespodzianych nowości, co w grze Paganiniego na skrzypcach". Po skończonej uroczystości muzycznej, na której wysłuchano wielkiego oratorium Händla *Debora*, Mozartowskiego *Jowisza* i fragmentów z 9-ej symfonii Beethovena, zaprosił Mendelsohn swoich paryskich przyjaciół do siebie do Düsseldorfu, gdzie znowu, dzięki przecudnej grze Chopina, przeżyto kilka bardzo podniosłych chwil. Nazajutrz, po całodziennej gościnie u twórcy *Pieśni bez słów*, udano się statkiem parowym do Koblencyi. Mendelsohn odprowadził swoich gości aż do Kolonii.

Po powrocie nad Sekwanę wrócił Chopin do zwykłego trybu swej paryskiej egzystencyi, z tą odmianą jedynie, że zaprosił do siebie na mieszkanie Jana Matuszyńskiego, przybyłego niedawno, ażeby się kształcić w zawodzie lekarskim w *Ecole de Medicine*. Oto wyjątek z listu „Jasia" do rodziców, ciekawy ze względu na Chopina. „Utył on, wyrósł, zaledwiem go poznał. Chopin jest pierwszym artystą dzisiaj na fortepianie. Lekcyi daje mnóstwo... Kompozycye jego najwięcej są teraz pokupnemi. Napisał ich też niemało... Z nim tylko żyję; wieczorami idziemy do teatru, albo na wizyty, a jak nie to się w domu siedzi..." Ale pierwszemu na fortepianie artyście mało pozostawiano takich wieczorów, gdzieby mógł spokojnie siedzieć w domu z Matuszyńskim. Z chwilą, gdy się zaczął sezon koncertowy, znalazło się bardzo wielu takich, którym zależało na tem, ażeby na afiszu znalazło się, jako *great attraction*, i nazwisko polskiego pianisty. Tym sposobem, d. 7 grudnia wypadło mu grać na koncercie Berlioza w konserwa-

toryum, a 25 t. m. wziął udział w świetnej *matinée musicale* w Sali Pleyela, urządzonej przez François Stoepel. Był to popis najznakomitszych sił artystycznych Paryża. Rozpoczęli go Chopin i Liszt, zagrawszy *Wielki duet na cztery ręce* Moschelesa. W marcu 1835 r., w tejże sali Pleyela, znowu odbył się koncert ze współudziałem Chopina, aż wreszcie d. 5 kwietnia t. r., w sali Opery Włoskiej, wobec świetnej widowni przepełnionej całą *haute volée* Paryża, przyszło do wielkiego koncertu na korzyść niezamożnych emigrantów polskich. Chopin, który się zajął jego urządzeniem, grał z orkiestrą pod dyrekcyą słynnego Habanecka swój *Koncert E-moll*, a następnie wykonał z Lisztem *Duet na dwa fortepiany* Hillera. Był to jeden z najświetniejszych koncertów w sezonie, wszyscy występujący artyści przeszli samych siebie, tylko Chopinowi zdawało się, że jego gra przeszła bez wrażenia, że nie miał daru, jak Liszt, działania na tłumy. „Nie zdam się do dawania koncertów, mówił do Liszta. Widok zebranych tłumów, ciekawie patrzących na mnie, onieśmiela mnie; ich oddech mię paraliżuje, a twarze obce i obojętne odbierają mi przytomność“. Jego areną, na której się czuł w swoim żywiole, był wykwintny salon i niewielkie ale wyszukane grono słuchaczów-znajomych.

V.

W parę miesięcy później, w końcu lipca, udał się do Karlsbadu, dla zobaczenia się z rodzicami, z którymi nie widział się od lat pięciu. Cały miesiąc spędzono razem, a Fryderyk, widząc, że nie zawiódł oczekiwań, był najlepszej myśli, pełen wiary w przyszłość i swą szczęśliwą gwiazdę. Myśląc o przyszłości, która niezawodnie była częstym tematem jego rozmów z rodzicami i siostrami, myślał i o małżeństwie. Chciał się ożenić, tą zaś, którą sobie wybrał na towarzyszkę życia, była owa Marynia Wodzińska, z którą się tak przyjaźnił, kiedy był uczniem liceum. Nie widział jej, odkąd wyjechał z kraju, w Paryżu jednak, przez pierwsze dwa lata, widywał się i przyjaźnił z jej bratem, Antonim. Gdy Antoś przeniósł się do Genewy, gdzie w tym czasie zjechała jego cała rodzina, korespondowali ze sobą, a ukrytą osią, około której obracała się ta korespondencya, była „panna Marya“. Wo-

dzińscy, nie wyłączając samej pani, byli dlań usposobieni nadzwyczaj życzliwie, a nawet go zapraszali, ażeby ich odwiedził w Genewie. Oto odpowiedź Chopina, datowana d. 18 lipca 1834 r. w liście do Feliksa Wodzińskiego: „Żeby nie to, że dopiero wróciłem z nad Renu i że mam zatrudnienie, którego teraz porzucić nie mogę, w ten moment bym pojechał do Genewy podziękować i przyjąć zaprosiny Twojej Szanownej Mamy. Ale losy srogie, słowem, nic z tego. Twoja siostra tyle była grzeczną, że mi swoją kompozycyę przysłała. Ucieszyło mnie to niewymownie i zaraz tego samego wieczora improwizowałem w jednym z tutejszych salonów na ładniuchny temat owej panny Maryni, z którą się to w Pszennego domu za dawnych czasów po pokojach goniło!.. A dziś! *Je prends la liberté d'envoyer à mon estimable collègue Mlle Marie une petite valse que je viens de publier.* Oby setną cząstkę przyjemności tej zrobił, jakiej ja doznałem odebrawszy waracye. Kończę, jeszcze raz dziękując najszczerzej za łaskawą pamięć Twojej Mamy na swojego starego i wiernego sługę, w którym także trochę krwi kujawskiej płynie... Kochanego Antka uściskaj. Kazia uduś z tendressów, jeżeli potrafisz, a co Pannie Maryi, to ukłoń się bardzo elegancko z uszanowaniem, zadziw się i powiedz sobie po cichu: Mój Boże, jak to urosło!...“ I nietylko urosło, ale i wyrosło na pannę niepospolitą w całem znaczeniu tego słowa, pannę, o której Słowacki, co się w niej kochał w Genewie, wyraził się nienapróżno, że posiadała „mnóstwo talentów“, Tak było istotnie. Otrzymawszy nadzwyczaj staranne wychowanie, prześlicznie grała na fortepianie, komponowała, a niemniej talentu, niż do muzyki, posiadała do rysunków i malarstwa, celując zarówno w malowaniu pejzarzów, jak w rysowaniu udatnych portretów. Ładną nie była, ale posiadała cudowne włosy o połysku piór kruczych, a jej czarne oczy spoglądały tak wymownie, że nie każdy mężczyzna potrafił się oprzeć ich urokowi. Kiedy mieszkała w Genewie, miała — prócz Słowackiego — kilku starających się o swą rękę, a do jej najgorętszych wielbicieli należał młody książe Ludwik Napoleon, późniejszy cesarz Francuzów. Chopina zawsze wspominała nadzwyczaj mile, a nigdy nie przestawała się interesować jego osobą. On wiedział o tem, bo widując się z „Antkiem“ Wodzińskim, często z nim rozmawiał o Maryni. Jak wyglądała, mógł wiedzieć

z portretu... Otóż, kiedy, syt salonowych tryumfów, zapragnął ożenić się, i kiedy zaczął się zastanawiać nad wyborem panny, postanowił starać się o rękę panny Wodzińskiej, mającej w tej chwili lat 19, a która, jak mu się zdawało, posiadała wszystkie warunki, ażeby być wymarzoną towarzyszką życia takiego, jak on człowieka. Kiedy jechał do Karlsbadu, wiedział, że na jesień Wodzińscy będą w Dreznie, i postanowił tam spotkać się z nimi.

Jakoż, z nadejściem września, po rozstaniu się z rodzicami, którzy wrócili do Warszawy, znalazł się nad Elbą. Wodzińscy już byli. Mieszkali u krewnego swego, wojewody Macieja Wodzińskiego, słynnego zbieracza rycin i numizmatów. Chopina, gdy się u nich zjawił z wizytą, przyjęli nadzwyczaj serdecznie, jak starego przyjaciela, a panna Marya wcale się nie hamowała w okazywaniu mu swojej sympatyi. Odtąd widywali się ciągle, codzień, po całych dniach. Razem odbywano wszystkie spacery, razem zwiedzano osobliwości miejskie, razem bywano w teatrze, a gdy zostawano w domu, Fryderyk i Marya stanowili nierozłączną parę, czy to, siedząc przy fortepianie, czy to gruchając sam na sam... Widząc to wojewoda, odrazu się zoryentował w sytuacyi, ale gdy o tem powiedział pani Wodzińskiej, ta uspokoiła go, mówiąc, że do tych duetów nie należy przywiązywać zbytniej wagi, że jest to przyjaźń od dziecka, którą śmiało tolerować można... W ten sposób upłynął cały miesiąc. Nareszcie wypadło się rozłączyć. W dzień wyjazdu Wodzińskich, gdy już dyliżanse czekały przed domem, Fryderyk, żegnając się z Maryą, usiadł do fortepianu, i to, czego jej nie śmiał wypowiedzieć słowami, wypowiedział improwizacyą w tempie rzewnego walca. Marya, zrozumiawszy, co oznaczały te smętne tony, podeszła do stołu, na którym stał bukiet róż, wyjęła jedną i dała ją Chopinowi...

Po wyjeździe Wodzińskich, pod wrażeniem tego pożegnania z Maryą, tak wymownego, choć była to tylko jakby Mendelsohnowska *pieśń bez słów*, napisał Fryderyk *pour Mlle Marie* swego smętnego walca *F-moll*, poczem, po powrocie nad Sekwanę, przepisał go na czysto i podpisawszy pod nim pamiętną dla siebie datę „Drezno Sept. 1835“ posłał Maryi do Służewa. Prawdopodobnie uczynił to za pośrednictwem brata jej, Antoniego, który, jedyny z całej rodziny, nie wrócił

do kraju, lecz był zmuszony mieszkać w Paryżu. Chopinowi było to bardzo na rękę, gdyż przyjaźniąc się z „Antkiem“, wiedział o wszystkiem, ro robią i myślą w Służewie, a jednocześnie postępował w ten sposób, ażeby i tam wiedziano o „panu Frycku“, o jego sukcesach paryskich, o jego stanowisku w sferach muzycznych i arystokratycznych, etc. Wogóle odkąd się znalazł z powrotem na Chausée d'Antin, był usposobiony pogodnie, optymistycznie. Miał błogie przeczucie, że sobie zdobył wzajemność Maryi, a to przeczucie było tak silne, że prawie się równało pewności. W tem przeświadczeniu oddawał się lubym marzeniom o szczęściu, którego sądził się bliskim, wyobrażał sobie, jak mu życie będzie płynęło z Maryą. Poślubiwszy ją, wróci do kraju, osiądzie na wsi, jak niegdyś Jan Kochanowski, i będzie tworzył przy boku swej kochającej i ubóstwianej żony. Tymczasem żył myślą o niej, dawał lekcye, improwizował po salonach wielkiego świata, komponował.

Z nadejściem lata, w lipcu, wybrał się do Maryenbadu, wiedział bowiem, dzięki swej przyjaźni z Antonim Wodzińskim, że tam będzie Marya z rodziną. Jakoż pojechał z postanowieniem starania się o rękę panny, a przybywszy na miejsce, przekonał się niebawem, że Marya w ciągu ostatniego roku nie zapomniała o nim, że dusza jej, jak przedtem, tak i teraz, rwała się ku niemu. Widząc to, a nadto mając liczne dowody życzliwości ze strony pani Wodzińskiej, szczęśliwy i rozpromieniony, oświadczył się i został przyjęty. Odtąd kosztował wszystkich słodyczy, które bywają udziałem szczęśliwych narzeczonych, i tak mu przeszło kilka tygodni.

Z Maryenbadu udano się jeszcze na parę tygodni do Drezna. Chopin towarzyszył swej narzeczonej, a czując się bliskim szczęścia, niewyczerpany w figlach, do których zawsze miał tyle skłonności, był duszą wszelkich rozrywek i zabaw. „Przedstawiał damom, przy fortepianie, znakomitszych europejskiej sławy wirtuozów, naśladując w sposób najpocieszniejszy ich grę, ich szczególniejsze obejścia się i ruchów właściwości; pokazywał dalej, jak to w Warszawie, amatorowie muzyki, tanecznym energicznym rytmem wykonywają zwykle jego pełne poetycznego melancholijnego uczucia mazurki i t. p. i t. p.“

W końcu rozjechano się. Nie na długo, jak przypusz-

czały obie strony. Wodzińscy udali się do kraju, dokąd Marya wracała „z nadzieją uzyskania ojcowskiego na małżeństwo z Fryderykiem zezwolenia“, Chopin zaś, jadąc do Paryża, wstąpił do Lipska, w celu odwiedzenia Roberta Schumanna, który, choć sam sławny kompozytor, był jego entuzyastycznym wielbicielem. „Przepędziliśmy z sobą piękny dzień, pisał d. 16 września Schumann pod świeżem wrażeniem wizyty Chopina. Ofiarował mi swoją *Balladę*. Jest ona, zdaje mi się, jego najgenialszem dziełem... Oprócz niej grał mnóstwo nowych *Etiud, Nokturnów, Mazurków*, wszystko w sposób nieporównany. Patrząc nań, jak siedzi przy fortepianie, już się doznaje pewnego wzruszenia“. Po parudniowym pobycie w Lipsku, gdzie oprócz Schumanna, odwiedził także znakomitą fortepianistkę Henriettę Voigt, udał się Chopin, po złożeniu wieńca na grobie księcia Józefa Poniatowskiego, przez Kassel i Heidelberg do Paryża.

Tu przybywszy, wrócił do normalnego trybu życia, który mu osładzały częste listy ze Służewa...[1]) Nieszczęście chciało, że coraz bardziej podupadał na zdrowiu, aż w końcu zaziębił się, zaczął kaszlać, cierpieć na dotkliwy ból w piersiach. W ogóle zimę miał ciężką. Był niezdrów, czuł upadek sił, tęsknił za Maryą. „Chorowałem znowu w zimie na grypę, pisał do Antoniego Wodzińskiego, i do Ems mnie wysyłają. Dotychczas jeszcze nie myślę (o wyjeździe), bo nie mogę ruszyć (w podróż). O Tobie więcej myślę, jak ci się zdawać może, i kocham cię jak zawsze“. To samo mógłby napisać w liście do Maryi, o której także myślał nieustannie, a jeśli się trapił swem słabem zdrowiem, to głównie ze względu na nią. Z braćmi jej, jak i z jej matką, pozostawał w ciągłej korespondencyi, a ile razy pisał do nich, zawsze się domagał, ażeby się Marya przypisywała do ich listów. Na tych przypiskach zależało mu najbardziej. W ogóle było mu tęskno za nią. „Przyznam się Pani, pisał d. 2 kwietnia 1837 r. do

[1]) Listy te, obecnie w posiadaniu p. Karłowicza, niebawem zostaną ogłoszone drukiem, wydane zaś, zaprzeczą opowiadaniu p. Wodzińskiego, który w swej książce *Les trois romans de Fr. Chopin* całkiem niezgodnie z prawdą opisał dzieje miłości Chopina z Maryą Wodzińską. Z listów tych okazuje się, że Karasowski był dobrze poinformowany, gdy twierdził, że Chopin był narzeczonym Maryi.

jej matki, że napadł mię moment, nakształt tego w Maryenbadzie przy książce P. Maryi, na której przez 100 lat nie byłbym nic napisał. Są dnie, którym rady nie wiem. Dziś wolałbym być w Służewie, niż pisać do Służewa. Więcej bym powiedział, niżelim napisał“.

Ale niebawem miała się skończyć ta miła wymiana listów pomiędzy nim a Wodzińskimi. Jeszcze d. 14 maja pisał do pani Wodzińskiej, jako jej „najprzywiązańszy“ sługa, a w *postscriptum*, załączając wyrazy „uszanowania“ dla swego przyszłego — jak mniemał — teścia, „pannie Maryi przypominał, żeby parę słów bratu napisała“, gdy nagle otrzymał list, w którym mu zwracano słowo, donosząc, że wszystko, co go dotychczas wiązało z Maryą, niech uważa za skończone. Zerwano z nim. Ojciec Maryi, który dla niej miał już upatrzonego męża z jej sfery, ani chciał słyszeć o tem, ażeby *jego* córka miała wyjść za „grajka“...

Raniony w samo serce „grajek“, otrzymawszy tę złowrogą wiadomość, cóż miał uczynić? Zrozumiawszy, że na nic by się nie zdały wszelkie usiłowania, przedsiębrane z jego strony, żeby przełamać wolę ojca Maryi, zawiedziony w swoich najdroższych uczuciach, a przytem boleśnie draśnięty w swojej miłości własnej, przestał pisywać do Służewa, a różę, którą miał od Maryi, kiedy się z nią w r. 1835 żegnał w Dreznie, schował w kopertę, na kopercie zaś, obwiązanej czarną wstążką na znak żałoby, napisał: „Moja bieda“. Ażeby o tej biedzie zapomnieć na chwilę, ażeby się rozerwać trochę, dał się namówić Kamilowi Pleyelowi i St. Koźmianowi, którzy właśnie wybierali się do Londynu, i pojechał z nimi razem. Ale przybywszy do stolicy Albionu, nie pokazywał się nigdzie, z nikim nie chciał zabierać znajomości, nie odwiedził żadnego z artystów. Bywał tylko na koncertach i w teatrze, a w ogóle występował *incognito*, które zdradził tylko w słynnej fabryce fortepianów Broadwooda, gdzie jednego wieczoru, wobec małego grona wybranych, grał „bardzo pięknie“, poczem wrócił do Francyi. Na zdrowiu nie poprawił się wcale. Bardziej jednak, aniżeli na ciele, był chory na duszy. On tak kochał Maryę!!!...

ROZDZIAŁ II.

George Sand (1837—1848).

Charakterystyka Aurory Dudevant. I. Poznanie z Chopinem. *Liaison.* Złe zdrowie. Lato w Nohant. Pobyt na Majorce. II. Trzy miesiące w Marsylii. Powrót do Nohant. Dobry humor. Tryb życia. Zajęcia kompozytorskie. Stosunek do wydawców. III. Powrót do Paryża. Poznanie z Moschelesem. Dwa koncerty w sali Pleyela. Ponury nastrój umysłu. Stosunek do pani Sand. *Lucretia Floriani.* Zerwanie.

„Poznałem wielką znakomitość, panią Sand, ale twarz jej niesympatyczna, nie podobała mi się; jest w niej coś odpychającego". Nie wiedział, kiedy w tych słowach formułował swoje pierwsze wrażenie, że niebawem zmieni swe zdanie o słynnej autorce *Lelii*, że to „coś odpychającego", co go w niej tak nieprzyjemnie raziło z początku, przeobrazi się w coś pociągającego, w jakiś fatalny urok, który się stanie tragedyą jego życia...

W chwili, kiedy się poznali ze sobą, pani Aurora Dudevant (bo takie było jej prawdziwe nazwisko) liczyła sobie lat 33, czyli, że znajdowała się w pełnym rozkwicie swych wdzięków, całkowicie odpowiadając Balzakowskiemu typowi kobiety *de trente ans.* Czy była piękna? Zdaniem takich znawców piękności niewieściej, jak Heine i Musset, była nią w wysokim stopniu. Musset uważał, że jako blada brunetka o cerze oliwkowej, okraszonej jakby miedzianemi refleksami, i czarnych oczach, tak wielkich, jak u Indyanki, była poprostu „bardzo piękną". Niemniej pochlebnie wyrażał się o jej urodzie Heine. Dla niego była pani Sand *eine ausgezeichnete Schönheit.* W twarzy jej, którą uważał za „piękna raczej niż interesującą" dopatrywał się greckiej regularności rysów, wybitnie nacechowanej piętnem idealności. „Około ust zwykł igrać dobrotliwy uśmiech, nie zawsze pociągający, a dolna warga, nieco obwisła, świadczy o zmysłowem znużeniu. Podbródek jest pulchny, pięknie zarysowany. Ramiona są również piękne, ba, wspaniałe. To samo da się powiedzieć o jej ręce, równie małej, jak noga. Co się tyczy powabów łona, to niech o nich piszą inni współcześni; ja przyznaję się do mej niekompetencyi w tym względzie".

Takich, co pod tym względem posiadali więcej kompetencyi, aniżeli złośliwy poeta niemiecki, było wielu, a w tej liczbie nie brakło i bardzo sławnych... Urodzona 5 lipca 1804 r. jako córka wojskowego francuskiego, Maurycego Dupin, i aktorki małego teatrzyku prowincyonalnego, Zofii Delaborde, kobiety pięknej, ale bardzo złego prowadzenia, wychowywała się w jednym z paryskich klasztorów, a w r. 1822 poślubiła pułkownika Kazimierza Dudevant, z którym miała dwoje dzieci: syna, Maurycego, ur. w r. 1823, i córkę Solange, ur. w r. 1828. Nie było to jednak zgodne małżeństwo. Nie dobrali się. Ona odznaczała się skłonnościami w kierunku poetycznym, rozczytywała się w arcydziełach literatury i poezyi, on zaś, „leniwy umysłem, lecz za to wściekły w nogach", był człowiekiem praktycznym, prozaicznym, trzymającym się ziemi, a przeciwnym, gdy jego żonie chciało się bujać po obłokach. Stąd niemożność zgodzenia się, ciągłe kwasy, sceny, przykrości. Nie rozumieli się wzajemnie. Nie kochali się także, a gdy w r. 1829 wzięli guwernera do dzieci, młodego 20-letniego Juliusza Baucoiran, pani Dudevant zakosztowała smaku zakazanego owocu... W r. 1831 wspólne pożycie z mężem, znienawidzonym i despotycznym, stało się niemożliwe: jakoż, po szeregu gwałtownych scen, niezaszczytnych zarówno dla obu stron, nastąpiła separacya: pan Dudevant został w Guillery, majątku odziedziczonym po ojcu, dzieci oddano do Nohant, zameczku matki Aurory, ona zaś, zdecydowana na walkę życiową, przeniosła się do Paryża. Tutaj zamieszkała, jak studentka, w Quartier Latin, przyjaźniła się ze studentami, ubierała się po męsku, paliła papierosy, bywała w teatrach, kawiarniach, redakcyach, pracowniach artystów, słowem, prowadziła „życie łobuzowskie".

Wszedłszy w stosunki z dziennikarzami i literatami, zaczęła pisywać do *Figara*, w którego redakcyi zaprzyjaźniwszy się w sposób nieplatoniczny z utalentowanym Juliuszem Sandeau, napisała do spółki z nim nowellę p. t. *Rose et Blanche*. Zachęcona olbrzymiem powodzeniem, jaką sobie zdobył ten utwór, napisała już bez pomocy swego kochanka powieść p. t. *Indiana*. Powieść ta, wydana pod pseudonimem George Sand, odrazu rozsławiła imię swej autorki. W r. 1832 nastąpiła po niej *Valentine*, a w roku następnym należał już George Sand do stałych współpracowników *Revue des deux mondes*. W tymże roku wyszła słynna *Lelia*, a autorka jej, zawiązawszy stosunek miłosny z młodziutkim Alfredem Mussetem, udała się z nim w miodową podróż do Włoch. Po zwiedzeniu Genui, Florencyi, Pizy, zatrzymali się w Wenecyi. Tutaj Musset zachorował, a że doktór Pagello, który go leczył, był młody i przystojny, więc autorka *Lelii*... Przekonawszy się, że jest zdradzany, Musset powrócił do Paryża, a niewierna kochanka, bynajmniej nie złamana tem zerwaniem, owszem, rada, że się pozbyła nudnego i kapryśnego towarzysza, napisała powieść p. t. *Elle et Lui*, w której siebie podniosła do apoteozy, a Musseta oczerniła w najniegodniejszy sposób. Jednocześnie procesowała się z mężem, z którym ostatecznie uzyskała rozwód, a żyjąc w ciągłych *liaisons* z mniej lub więcej sławnymi literatami i artystami, przyczem miała szczególną słabość do młodszych od siebie, nieustawała w pracy literackiej, niemniej bowiem, aniżeli mężczyzn, lubiła pieniądze.

Najgenialniejsza ze wszystkich kobiet piszących, świetna stylistka, obdarzona niezwykle bujną wyobraźnią poetycką, choć nie grzesząca zbytnią głębokością swych paradoksalnych pomysłów, jako kobieta, był to Don Juan w spudnicy, stający się wampirem dla tych, których swym urokiem opętał. Zmysłowa i lubieżna, była nienasycona w swych cielesnych żądzach, a gdy chodziło o ich zaspokojenie, nie krępowała się żadnemi skrupułami, „gotowa roztłuc czarę, skoro ją wypróżniła“. Zrównoważona umysłowo, praktyczna i trzeźwa z przyrodzenia, nie odznaczała się ani szlachetnością instynktów, ani wzniosłością duszy, ani delikatnością uczuć. A jednak, mimo te odrażające cechy charakteru, posiadała taki dar przykuwania do siebie tych, których kochała chwilowo, że choć poznawali się na pospolitości i grubości jej natury, nigdy całkowicie nie obojętnieli dla niej, zawsze pozostawali pod urokiem tych chwil, gdy ją posiadali, a raczej byli posiadani przez nią... Wszyscy ją przeklinali przekleństwem Musseta: *Honte à toi, femme à l'oeuil sombre;* wszyscy złożeczyli jej, jak zrozpaczony autor namiętnej *Nocy październikowej:*

C'est ta jeunesse et tes charmes
Qui m'ont fait désespérer,
Et si je doute des larmes,
C'est que je t'ai vu pleurer!

a jednak, gdyby zechciała, każdy by wrócił do niej... Albowiem było coś z demona w tej kobiecie!

I.

Chopin poznał się z nią przez Liszta. Było to na początku roku 1837. Pani Sand przebywała w Nohant, a że wszystko, co było najświetniejszego pod względem umysłowym i artystycznym, począwszy od Mickiewicza, a skończywszy na Liszcie i Pani Viardot-Garcia, bywało w jej otwartym domu, więc zapragnęła i Chopina widzieć w wyborowem gronie swych gości. Wiedząc, że Liszt, (którego Musset posądzał o romans z nią) przyjaźnił się z Chopinem, prosiła go, ażeby kiedy przyjechał razem z nim. Liszt zadosyćuczynił jej prośbie, a pani Sand, odkąd Chopin zaczął bywać w jej domu, zachwycona jego grą zarówno, jak i jego osobą, nie taiła się ze swą admiracyą dla niego, tak dalece, że raz napisała mu na karteczce: „*On vous adore, George*“. Skończyło się na tem, na czem zwykle kończyły się takie uwielbienia ze strony autorki *Lelii:* Chopin został jej kochankiem.

Upłynął rok. Wielki pianista coraz bardziej podupadał na zdrowiu, nikł w oczach. Blady i wycieńczony, cierpiał na dotkliwą chrypkę, która, połączona z uporczywym kaszlem i bólem gardła, nie dziw, że mocno zaniepokoiła jego przyjaciół. Z nadejściem wiosny r. 1838, stosując się do wskazówek lekarzy, którzy mu doradzali pobyt na świeżem powietrzu, oraz zupełną zmianę warunków codziennego życia, skorzystał z zaproszenia pani Sand, która go na całe lato zaprosiła do swej letniej rezydencyi w Berry, i pojechał do Nohant. Tutaj, zmuszony zaprzestać dawania lekcyi, będących

jego głównem źródłem dochodów, wrócił do pracy kompozytorskiej, którą ostatniemi czasy zaniedbał znacznie, ale choć wszystko, co pisał, zasługiwało na miano arcydzieł, to jednak na zdrowiu nie poprawiał się wcale. Owszem, z każdym dniem wyglądał gorzej, a czując przerażający upadek sił, w przewidywaniu rychłej śmierci z suchot, których wszystkie symptomy występowały coraz groźniej, tak dalece zwątpił w możność powrotu do zdrowia, że sporządził testament...

Tymczasem lekarze radzili zimę spędzić w południowym klimacie, a że i pani Sand, ze względu na swego syna, chorującego na reumatyzm, wybierała się na południe, mianowicie na wyspę Majorkę, więc zdecydował się pojechać z nią razem... W połowie listopada, po kilkudniowym pobycie w Marsylii, a potem w Barcelonie, wylądowano w Palmie, która jest stolicą Majorki. Chopin, choć osłabiony, zwłaszcza po burzliwej przeprawie morskiej, nie pozostał obojętny na piękności tej rajskiej wyspy. „Jestem w Palmie, pisał d. 15 listopada do Jul. Fontany, między palmami, cedrami, kaktusami, oliwkami, pomarańczami, cytrynami, aloesami, figami, granatami, i t. d. co tylko *Jardin des plantes* ma z łaski swoich pieców. Niebo jak turkus, morze jak lazur, góry jak szmaragdy. Powietrze, powietrze jak w niebie! W dzień słońce, więc ciepło; wszyscy chodzą w letnich ubiorach. Podczas nocy słychać wszędzie gitary i śpiewy po całych godzinach. Balkony ogromne z winogronami nad głową, maurytańskie mury... Miasto, jak i wszystko, ku Afryce patrzy... Słowem, przecudne życie“! Zamieszkano w podmiejskiej willi Son-Vent, która, o ile się okazała przyjemną w pogodę, o tyle, gdy nastały słoty, trwające przez sześć tygodni bez przerwy, niezmiernie wiele pozostawiała do życzenia. W nieopalanych pokojach było zimno, ściany pokryły się wilgocią, wiatr przewiewał przez szpary w źle domykających się oknach, słowem, rozpacz! Chopin zaziębił się, zaczął pluć krwią, użerał się z lekarzami, którzy mu nie umieli pomódz, stawał się przykry dla otoczenia (bo w ogóle był „nieznośnym pacientem“) o tem zaś, w jak niewesołym był nastroju, świadczy jego list do Fontany, pisany d. 3 grudnia. „Chorowałem przez te ostatnie dwa tygodnie, jak pies; zaziębiłem się mimo 18 stopni ciepła, kwitnących róż, pomarańczy, palm i fig. Trzech doktorów, najsławniejszych z całej wyspy, zwołano

na konsultacyę. Jeden wąchał, com pluł, drugi stukał, skądem pluł, trzeci macał i słuchał, jakem pluł. Pierwszy mówił, że zdechnę, drugi, że zdycham, trzeci, żem już zdechł. A ja tymczasem, jakem żył, tak żyję!“ I nietylko żył, ale i komponował, zajęty opracowywaniem swoich *Preludiów*. Niestety, fortepian, który posiadał, był stary i rozklekotany, a pianino, które sobie kazał przysłać od Pleyela, jeszcze nie nadeszło. Już to samo wystarczało, żeby był w złym humorze, a nie brakło innych powodów, które go irytowały. Oto, gdy się chciano przeprowadzić, nikt nie chciał odnająć mieszkania, wszędzie bowiem, gdzie się dowiedziano o chorobie Chopina, obawiano się zarażenia suchotami, które na Majorce uchodzą za tak zaraźliwe, jak cholera lub dżuma. Nakoniec, w połowie grudnia, po wielu kłopotliwych staraniach, dostano mieszkanie w oddalonym od miasta, opuszczonym klasztorze Valdemosa. Była to nadzwyczaj romantyczna siedziba. Pani Sand była zachwycona jej poetycznością, Chopin także. „Nic cudowniejszego: krużganki, cmentarze najpoetyczniejsze... Pomiędzy skałami a morzem, w ogromnym klasztorze Kartuzów, w jednej celi o drzwiach większych, niż bramy w Paryżu, możesz sobie mnie wystawić nieufryzowanego, bez białych rękawiczek, bladego jak zawsze. Cela ma formę trumny, o wysokiem zakurzonem sklepieniu. Okno małe; przed oknem — drzewa pomarańczowe, palmowe, cyprysowe. Naprzeciw okna, pod filgranową, maurytańskiego stylu rozetą, stoi moje łóżko. Obok, stary kwadratowy klak do pisania, zaledwo mogący służyć do użytku; na nim, lichtarz ołowiany (wielki tu zbytek) ze świeczką. Dzieła Bacha, moje bazgrały i niemoje szpargały, oto wszystko, co posiadam. Cisza. Można krzyczeć, nikt nie usłyszy. Słowem, piszę do ciebie z dziwnego miejsca“. Cóż, kiedy zamiast przychodzić do siebie, czuł się coraz słabszy, coraz bardziej rozstrojony nerwowo, a ten rozstrój dochodził do tego stopnia, że go chwilami przyprawiał o halucynacye... Żeby choć miał porządny fortepian! Ale tygodnie mijały, a instrument pleyelowski jak nie przychodził, tak nie przychodził. „Że go dopiero na wyjezdnem dostanę, to mię bardzo cieszy, bo oprócz 500 fr. transportu i cła, które muszę zapłacić, będę miał jeszcze przyjemność sam go nazad zapakować i odesłać! Tymczasem moje manuskrypta śpią, a ja spać nie mogę, tylko kaszlę, od dawna

zaś plastrami obłożony, czekam z utęsknieniem wiosny, albo czego innego...“ Czasami zdawało mu się, że już nie wróci z Majorki, że tutaj wyzionie ducha. W tem uczuciu skomponował swego *Marsza pogrzebowego*... Gdy się czuł lepiej, poprawiał swoje *Preludia*, z których najpiękniejsze powstały w tym klasztorze, napisał cudną *Balladę*, aż wreszcie, d. 9 stycznia, otrzymał fortepian. Odtąd zaczęła się nowa epoka w jego życiu, ożywił się, w głowie mu się paliło od najróżnorodniejszych pomysłów muzycznych, z których jeden przybrał konkretne kształty świetnego *Poloneza Tryumfalnego A-dur*. Wyobraźnia Chopina, opanowana tą kompozycyą, tak była wstrząśnięta przez nią, że kiedy ją skończył, tej samej nocy miał zupełną halucynacyę. W pokoju nie było nikogo. Właśnie przegrywał tylko co ukończone dzieło, gdy nagle wydało mu się, że przez otwarte drzwi wszedł orszak marsowatych postaci kontuszowych, dam w robronach i kornetach, i wszystko to zaczęło poważnie przeciągać przed nim, rzekłbyś tańczyło przy jego muzyce... Innym razem, gdy pani Sand poszła z dziećmi na spacer, a on został w swej celi, niebo zaciągnęło się chmurami, zaczął padać drobny deszczyk. Chopin, niespokojny o swą kochankę, wsłuchując się w miarowe spadanie kropli deszczowych, napisał swe rozdzierające *Preludium H-moll*. Wogóle bał się samotności w tym klasztorze. Ciągle mu się zdawało, że to snują się całe korowody widm i duchów pomarłych mnichów, i w tem chorobliwem uczuciu napisał przepyszne *Preludium Des-Dur*, pełne tajemniczych i przejmujących odgłosów i jęków...

II.

W końcu lutego opuszczono romantyczną Valdemosę. Przybywszy do Marsylii, gdzie miano się zatrzymać czas dłuższy, Chopin poddał się opiece słynnego doktora Cauvière, który, zbadawszy go, oświadczył, że mu nic nie grozi, że byle się szanował, może żyć bardzo długo, że o suchotach niema mowy. Taka dyagnoza jednej z największych znakomitości lekarskich francuskich, uspokoiwszy Chopina, doskonale wpłynęła zarówno na jego nastrój psychiczny, jak i na zdrowie, które, o ile mu niedopisywało na Majorce, o tyle teraz, od chwili przyjazdu do Marsylii, wracało bardzo szybko. „Jasia uściskaj, pisał do Fontany, powiedz mu, żem sobie, a raczej że mi krwi puścić nie dano, że noszę wizykatoryę, że mało rano kaszlę, i że mię wcale jeszcze za suchotnika nie mają. Nie piję ani kawy, ani wina, tylko mleko; zresztą ciepło się trzymam i wyglądam jak panna“. Łagodny klimat Marsylii, poparty prześliczną pogodą, robił swoje. Artysta przychodził do siebie, młody organizm odnosił zwycięstwo nad chorobą. „Lepiej mi daleko. Zaczynam grać, jeść, chodzić i mówić, jak wszyscy ludzie“. Dnia 24 kwietnia grał na organach w kościółku Notre-Dame-du-Mont, w czasie nabożeństwa przy trumnie słynnego śpiewaka Nourrit, niedawno zmarłego we Włoszech, a w domu także nie zaniedbywał ani gry na fortepianie, ani kompozycyi. Tak przeszło trzy miesiące.

Dnia 22 maja, po niefortunnej wycieczce do Genui, skąd wracano w czasie strasznej burzy, wyjechano z Marsylii. Dnia 3 czerwca zawitano do Nohant. Chopin zdecydowawszy się na wspólne mieszkanie z panią Sand, dopiero jesienią chciał wrócić do Paryża. Wiedział, że tylko na wsi całkiem powróci do zdrowia, a przytem nie chciał się rozstawać z ukochaną, do której, pomimo jej licznych wad, na które nie był ślepy, z każdym dniem przywiązywał się coraz bardziej. Już nie wyobrażał sobie poprostu, ażeby mógł żyć bez niej... Niestety, ona zaczęła obojętnieć dla niego, a chwilami nawet nie kryła się z tem, że żałowała nawiązania stosunków z nim, że jej stawał się ciężarem, że o ile kochała go, kiedy był zdrów, o tyle, kiedy był chory, stygła w swych uczuciach dla niego. Na szczęście, od chwili powrotu do Nohant, gdzie nad nim czuwał dzielny i sympatyczny Dr. Papet, nadzwyczaj prędko wracał do zdrowia, aż wreszcie, po kilku tygodniach zapomniał o chorobie. Ze zdrowiem odzyskał i humor. Korespondując ze swymi paryskimi przyjaciółmi, a najwięcej z Fontaną, pośredniczącym pomiędzy nim a jego nakładcami, wypisywał mnóstwo dowcipów i konceptów, które mu mimowoli cisnęły się pod pióro... Z powodu bytności pięknej śpiewaczki, pani Viardot-Garcia, która w maju spędziła dwa tygodnie w Nohant, a przyjechała tu dlatego głównie, ażeby trochę popracować pod kierunkiem Chopina, donosił Fontanie, że przez cały czas jej pobytu w domu pani Sand, „muzykowaliśmy mniej, aniżeli co innego robili...“

Oprócz pani Viardot-Garcia przyjeżdżali tu często Liszt z panią d'Agoult, malarz Delacroix, Mickiewicz, Grzymała i wiele innych znakomitości ze świata artystycznego paryskiego. Słowem, nie nudzono się w Nohant. „Wojciechowski do mnie pisał, żebym *Oratorium* komponował. W liście do rodziców odpowiedziałem mu, czemu fabrykę cukrową buduje, a nie klasztor kamedułów albo dominikanek!“ Otrzymawszy z kraju od jakiegoś wielbiciela swego i „amatora muzyki już 80 lat mającego“ dwa mazury „na temat do waryatiów“, tak je scharakteryzował w liście do Fontany: „*Mazurki*, jak sobie możesz wystawić, szanowne: *ram dididiridi, ram dididiridi...*“ „Dobrze, że się Domaradzki żeni, bo mi zapewne 80 franków odda po weselu. Chciałbym także, żeby się Podczaski ożenił, żeby Nakwaska poszła za mąż, i Antoś [1]) się ożenił... Znajdź mi lokaja. Uściskaj panią Leo (pewnie pierwsze ci przyjemniejsze, więc cię od drugiego uwalniam, jeżeli pierwsze zrobisz). Moschelesowi, jeżeli już jest w Paryżu, każ dać enemę z *Oratoriów* Neukomma, przyprawianych Berlioza *Cellinim* i *Koncertem* Dehllera. Jasiowi [2]) daj odemnie na śniadanie wąsy sfinksowe i cynadry papuzie z sosem pomidorowym, obsypane jajeczkami świata mikroskopijnego. Sam się wykąp w infusyi wielorybiej, na wypoczynek od wszystkich moich komisów, które ci daję... Będę ci za to odmieniać drugą część *Poloneza* aż do zgonu. Wczorajsza wersya może ci się także niepodoba, chociaż suszyłem sobie nad nią głowę z jakie ośmdziesiąt sekund...“ „Jutro dostaniesz *Nokturny*, a w końcu tygodnia *Balladę* i *Fantazyę;* nie mogę wcześniej pisania wykończyć. Każdą z tych rzeczy przepiszesz; kopie twoje zostaną w Paryżu. Jeżeli cię nudzi przepisywanie, to na pociechę myśl sobie, iż to czynisz dla odpuszczenia wszelkich grzechów twoich! Nie chciałbym moich pajęczych nóżek, żadnemu smarującemu grubo kopiście dawać. Jeszcze raz ci to polecam, bo gdyby mi przyszło powtórnie te 18 stronnic pisać, zwaryowałbym z pewnością“. Widać z tego, że się czuł usposobionym do pracy twórczej, że mu natchnienie dopisywało, że ledwo skończył jedną kompozycyę, za-

[1]) Wodziński.

[2]) Matuszyńskiemu, zamieszkującemu apartament Chopina przy Chaussé d'Antin.

czynał drugą, że niemi sypał jak z rękawa. Jakoż była to epoka, gdzie stworzył swe najpiękniejsze i najdoskonalsze dzieła. Dość wspomnieć *Sonatę Si bemoll minore* z *Marszem żałobnym*, szereg wspaniałych *Nokturnów* i *Mazurków*, *Allegro de Concert* Op. 49 i jedno *Impromptu*, „które może liche, jeszcze sam nie wiem, bo za świeże. Ale dobrze, żeby było nie bardzo Orłowskie, albo Zimermanowskie, albo Karsko-końskie, albo Sowińskie, albo inno-zwierzęce“. W tem niezbyt podchlebnem pojęciu o innych kompozytorach polskich, po kilka godzin dziennie spędzał przy stoliku, z piórem w ręku, i przy fortepianie, przy którym zaraz próbował swych „nudów pisanych“, jak nazywał swe kompozycye. „Nic zresztą nie robię, poprawiam sobie Bacha edycyę paryską; poprawiam nietylko z błędów sztycharza, ale i z błędów harmonijnych, popełnionych przez tych, co niby Bacha rozumieją. Nie czynię tego z pretensyi, żebym od nich lepiej rozumiał, ale z przekonania, że czasem zgaduję, jak być powinno“. Pozatem dużo przebywał na świeżem powietrzu, kochał się, bawił się z dziećmi pani Sand, reżyserował teatra amatorskie, w których sam był najlepszym aktorem, lub grał rolę orkiestry, przygrywając na fortepianie; a kiedy pisał listy do Fontany, nie zawsze uciekał się do parlamentarnych epitetów, jeśli chciał wypowiedzieć, co myślał o swoich nakładcach.

Wogóle kazał sobie dobrze płacić za swoje kompozycye, a że wszyscy wydawcy, z którymi był w stosunkach, starali się go wyzyskiwać, więc targował się z nimi, jakby się tego po nim spodziewać było trudno. „Pisałem do Pleyela przy *Preludiach*, że mu *Balladę* (którą sprzedałem także Probstowi na Niemcy) daję za 1000 franków. Za dwa *Polonezy* na Francyę, Anglią i Niemcy (bo na *Balladzie* ogranicza się prawo Probsta) zażądałem 1500 fr. Zdaje mi się, że nie za drogo?“ Innego jednak zdania był Pleyel, o czem gdy Chopinowi doniósł Fontana, otrzymał od niego taką odpowiedź. „Nie spodziewałem się żydowstwa ze strony Pleyela; ale kiedy tak, proszę cię, oddaj mu list tutaj załączony. Chyba że ci żadnych trudności o *Balladę* i *Polonezy* robić nie będzie. W przeciwnym razie, odebrawszy za *Balladę* 500 fr. od Probsta, zaniesiesz ją Schlesingerowi. Kiedy już mieć do czynienia z żydami, to przynajmniej z ortodoxami. Probst może mię jeszcze gorzej oszwabić, bo to ptaszek, którego nie zła-

piesz. Schlesinger ciągle mnie szwabił; dosyć na mnie zarobił i nowego zarobku nie odrzuci; tylko z nim grzecznie, bo chociaż żyd, jednak chce za coś lepszego uchodzić". Już to, gdy chodziło o napiętnowanie wyzysku księgarzy, nie przebierał w wyrażeniach. Mimo to, choć ich nazywał „łajdakami Niemcami", „szelmami Żydami", „juchami", „chyclami", „durniami" etc. musiał się liczyć z nimi, od czasu bowiem, jak wyjechał z Paryża, żył z tego tylko, co zarabiał kompozycyami, sprzedawanemi pp. Pleyelom, Probstom, Schlesingerom i innym „Żydom". Swoją drogą zarabiał dużo, bo niżej 300 fr. nie brał za najdrobniejsze *Opus*, a za niektóre brał po 1000 fr. i więcej.

III.

Tymczasem minęło lato, nadeszła jesień. W listopadzie przeniesiono się do Paryża. Chopin zamieszkał przy *Rue Trouchet Nr. 5*, pani Sand zajęła dwa pawilony przy sąsiedniej *Rue Pigalle Nr. 16*. Chopin znowu zaczął dawać lekcye, grywać po salonach arystokratycznych, a o ile nie czynił jednego albo drugiego, lub nie oddychał burzliwą atmosferą emigracyjnego życia (bo z emigracyą utrzymywał ścisłe stosunki), o tyle przesiadywał u swej Dalili, u której także jadał śniadania i obiady. W krótce po swym przyjeździe z Nohant, jeszcze w listopadzie r. 1839, poznał się z Moschelesem, który w tym czasie zjechał nad Sekwanę. Zdaje się, że wrażenie, jakie na nim uczynił Chopin i jego gra, wypadło o wiele korzystniej, aniżeli wrażenie, jakie on i jego gra uczyniły na „Arielu fortepianu". Poznali się na wieczorze u bankiera Leo. Chopin grał kilka swoich *Etiud* i *Preludiów*. Moscheles także wykonał kilka swoich rzeczy, a nazajutrz, pisząc do żony, tak sformułował swe zdanie o genialnym koledze: „Powierzchowność jego delikatna i marzycielska, zgodną jest zupełnie z jego muzyką. Na moje prośby grał mi kilka swoich kompozycyi i teraz dopiero zrozumiałem ją i zupełnie pojmuję owo uwielbienie, jakiem go darzą zwłaszcza kobiety... Jego *piano* jest tak subtelne, że nie potrzebuje żadnego silniejszego *forte*, aby wywołać odpowiednie kontrasty... Porywa cię on niby śpiewak nie troszczący się o akompaniament, a posłuszny jedynie własnemu uczuciu. Jednem

słowem jest on unikatem pomiędzy fortepianistami całego świata". Odtąd widywali się raz po raz, bądź odwiedzając się wzajemnie, bądź na świetnych rautach wielkiego świata, gdzie często grywali na cztery ręce. W d. 29 listopada popisywali się w St. Cloud wobec Ludwika Filipa i całej rodziny królewskiej. Chopin grał kilka własnych *Etiud* i *Nokturnów*, podziwiany i komplementowany przez wszystkich, poczem, gdy i Moscheles zdążył wykonać kilka swoich kompozycyi, zagrali razem *Sonatę Es-Dur* Moschelesa, którą na żądanie musieli powtórzyć. Z kolei nastąpiły improwizacye: Chopin improwizował na temat popularnej piosnki Grisar'a *La folle*. Moscheles fantazyował na tematy Mozarta. Obaj grali ku najwyższemu zachwyceniu swych dostojnych słuchaczy, jakkolwiek nie da się zaprzeczyć, że Chopin podobał się bardziej, że o ile on naprawdę wszystkich wprawił w zachwyt (wszystkich, nie wyłączając samego Moschelesa), o tyle ten ostatni więcej miał *un succes d'estime*. Na wyjezdnem z królewskiego pałacu, obaj artyści otrzymali cenne podarunki: Chopinowi ofiarowano złotą filiżankę na takimże spodeczku, Moscheles dostał kosztowny *Necessaire* podróżny, co, według dowcipnego a złośliwego wyrażenia Chopina, miało oznaczać, że Moschelesowi dlatego ofiarowano przybory do podróży, ażeby go się pozbyć czemprędzej. Widocznie, że mimo wszystko nie był zachwycony słynnym twórcą *Sonaty Es-Dur*. Może dlatego, że Moscheles był żydem, a Chopin w ogóle nie lubił żydów... Co pewna, to, że Moscheles, odkąd się zapoznał z Chopinem, (którego przez cały czas, jak bawił nad Sekwaną, raz po raz zaszczycał swemi odwiedzinami na Rue Trouchet), zmienił swoje dotychczasowe zdanie o nim, a ta zmiana wypadła całkowicie na korzyść Chopina.

Dnia 26 kwietnia 1841 roku, wystąpił Chopin, po długiej bo sześcioletniej przerwie, z własnym koncertem w sali Pleyela. Licznie zgromadzone audytorium składało się z wybranego grona uczniów, przyjaciół i wielbicieli Chopina, prawie z samych jego znajomych, co nie przeszkadzało zresztą, że sala wypełniła się po brzegi, a bilety były po 20 franków. Dokoła estrady skupili się najwybitniejsi muzycy paryscy, z Lisztem na czele; w pierwszym rzędzie siedziała pani Sand z dziećmi. Pomiędzy słuchaczami najwięcej było kobiet, wszystko damy z wielkiego świata. Wśród mężczyzn

przeważali artyści, literaci, malarze, jak Delacroix, poeci, jak Heine, Mickiewicz. Nie brakło i najwybitniejszych przedstawicieli emigracyi polskiej... Był to jeden z najświetniejszych koncertów, jakie w ogóle odbyły się w Paryżu. Słynny skrzypek Ernst, jeden z najgenialniejszych skrzypków świata, grał swoją Elegię, którą do łez wzruszył wszystkich; pani Damoreau-Cinti, jak zawsze „zachwycająca doskonałością“, śpiewała dwie arye z opery Adama *La Rose de Péronne;* a Chopin, który był wyjątkowo dobrze usposobiony tego wieczoru, grał swoje *Preludia, Etiudy, Nokturny, Mazury, Ballady*. Jedną *Balladę* i dwie *Etiudy* musiał powtórzyć, i gdyby nie blade oblicze artysty, świadczące o jego nadmiernem wyczerpaniu fizycznem, musiałby wszystko powtarzać *da capo*, takiej gry bowiem, jak jego, chciałoby się słuchać bez końca... Tego zdania był przynajmniej Liszt, który o tym koncercie napisał entuzyastyczne sprawozdanie w *Gazette musicale*. Rzecz ciekawa, że Chopin, kiedy się dowiedział, iż Liszt ma pisać o tym koncercie, nie bardzo był rad z tego, przewidywał bowiem, że mu się dostanie conajwyżej jakieś małe królestwo w wielkiem cesarstwie tamtego... Ale nie sprawdziły się jego obawy: Liszt napisał artykuł, który Chopinowi mógł sprawić tylko najwyższą przyjemność. W podobnym tonie były i inne sprawozdania z tego koncertu, zarówno w *Menestrelu*, który Chopina porównywał z Lamartinem, jak i w *La France musicale*, która słusznie oceniła Chopina, jako fortepianistę i kompozytora wyjątkowego zupełnie, nie dającego się porównywać z żadnym innym: był sobą przedewszystkiem.

Wobec tak niezwykłego powodzenia zdecydował się d. 21 lutego 1842 r. wystąpić z nowym koncertem. I tym razem grał w sali Pleyela, przekonał się bowiem, że gra jego, o ile się gubiła w wielkich widowniach teatralnych, o tyle zyskiwała w wytwornej salce przy Rue Rochechouard, zwłaszcza, że wyczerpany fizycznie, w ogóle grał ciszej znacznie, niż dawniej, że niektóre *fortissima* grał *pianissimo*... To także było powodem, że układając program tego koncertu, wybrał same kompozycye drobniejsze, nie wymagające siły przy wykonaniu. Dlatego na programie nie znalazł się żaden z jego *Polonezów*, lecz wypełniły go *Nokturny, Preludia, Mazurki*, jedno *Impromptu* i *Ballada As-Dur*. Prócz tego śpiewała pani Viardot-Garcia, która wykonała szereg utworów Händla,

oraz piosnkę *Le Chêne et le Roseau*, przy nieporównanym akompaniamencie Chopina, a słynny wiolonczelista Franchomme, serdecznie zaprzyjaźniony z Chopinem, zachwycał swą grą marzycielską. A Chopin? On grał jak zwykle, t. j. tak, że wytworne grono słuchaczów — sama śmietanka arystokracyi rodu i ducha — doznawała najczarowniejszych wrażeń, a krytyka darmo siliła się na takie zestawienie słów, któreby choć przybliżone pojęcie dawały o artystycznych rozkoszach tego wielkoświatowego koncertu. Wszystkie pisma przesadzały się w pochwałach i superlatywach, tak, iż jeden tylko Maurice Bourges, sprawozdawca *Gazette musicale* ośmielił się wystąpić z następującym zarzutem, może nie pozbawionym odrobiny słuszności: *Trop de recherche fine et minutieuse n'est pas quelquefois sans prétention et sans froideur...*“ Mimo ten zarzut, i jego krytyka była pełna admiracyi dla wielkiego współzawodnika Thalberga i Liszta.

Wkrótce po tym koncercie, będącym jednym wielkim sukcesem od początku do końca, zdecydowano się zmienić dotychczasowe mieszkanie: chodziło głównie o Chopina, którego pokoje były wilgotne, pozbawione słońca, co niekorzystnie wpływało na jego zdrowie, będące według wyrażenia pani Sand, „ciągłym stanem znużenia i dolegliwości fizycznych“. Jakoż przeprowadzono się do zacisznej arystokratycznej *Cité d'Orleans*, zwanej także „małemi Atenami“, tylu tam mieszkało artystów i literatów. Wynajęto trzy wille: jedną zajęła pani Sand, drugą, oznaczoną Nr. 4, hrabina Marliani, trzecią, oznaczoną Nr. 3, Chopin. Stołowano się wspólnie, u hr. Marliani, a z okien miano słoneczny widok na malowniczy *Square d'Orleans* z fontanną i drzewami pośrodku. W pobliżu mieszkał Aleksander Dumas, najbliższą sąsiadką była pani Viardot-Garcia, a rzeźbiarz Dantan, który w swej pracowni mógł słyszeć grę fortepianisty Zimmermanna, mieszkającego tuż obok, miał tak niedaleko do Chopina i pani Sand, że nawet narysował ich karykatury... Słowem, zdawało się, że tu nie powinno być źle Chopinowi. Niestety, było źle! Przedewszystkiem nie był zdrów: nerwy miał rozstrojone, z każdym dniem czuł się słabszym, coraz bardziej wyczerpanym i przygnębionym. W takim nastroju wypadło mu iść za trumną Jasia Matuszyńskiego, zmarłego na suchoty d. 20 kwietnia 1842 r., a kiedy we dwa lata potem otrzy-

mał smutną wiadomość o śmierci ojca, który d. 3 maja 1844 r., nie mogąc pożegnać się z synem, umarł na chorobę piersiową, nie można się dziwić „zwykłemu choremu“ — jak Chopina teraz nazywała pani Sand — że i on, patrząc na swe wychudłe palce, czasami doznawał fatalnego złudzenia, jakoby słyszał śmierć, pukającą do jego drzwi. W tem uczuciu napisał cudowny *Nokturn H-Dur*, którego tęskną melodyę przerywa jakieś złowrogie pukanie... Istnieje legenda, że Chopinowi zdało się podczas komponowania tego nokturnu, iż kościste widmo zastukało do drzwi, ażeby go oderwać od pracy. Stąd rozdzierające zakończenie tej kompozycyi, tak pełne jakiegoś nerwowego lęku, a tak chorobliwe w nastroju...

Ta chorobliwość cechowała i niektóre jego kompozycye z tej epoki, np. *Polonaise-Phantaise Op. 61* i *Sonatę G-moll* na fortepian i wiolonczelę Op. 65, poświęconą Franchomme'owi. Utwory te, jakkolwiek obfitujące w mnóstwo przepięknych, nadzwyczaj poetycznych ustępów, w całości były nacechowane jakimś dziwacznym excentrycznym kolorytem, świadcząc o jakimś braku równowagi duchowej u autora, o jakiemś niezdrowem, gorączkowem podnieceniu imaginacyi, a pewnem osłabieniu artystycznego zmysłu. Już jego czwarta *Ballada* nie posiadała tej jasności i przejrzystości, co poprzednie, a ostatnie *Nokturny* były nacechowane melancholią, która chwilami zasługiwała na miano czarnej...

Przyczyną tego artystycznego zaćmienia ducha i natchnień, uwidoczniającego się w niektórych — nie wszystkich — kompozycyach Chopinowskich, były tajemnice jego domowego pożycia, o których ani mówił nikomu, ani pisał w listach do matki i sióstr, które jednak, ukrywane i tłumione na dnie duszy, podkopywały go moralnie i fizycznie. Zauważył mianowicie, że się sprzykrzył swej towarzysce, że miała dosyć tego romansu ze swym „zwykłym chorym“. Ostatecznie rada by go się pozbyć. Nie wiedziała tylko, jak? Uciekała się do najrozmaitszych mniej lub więcej upokarzających sposobów, lecz żaden nie przynosił pożądanego rezultatu; Chopin bowiem, choć widział, że z nim usiłowano zerwać, choć czuł każde ukłucie szpilki, udawał, że się nie domyśla, o co chodzi... „Kochał zawsze, choć oczywiście już nie tak, jak z początku, ale nie chciał odejść, bo myślał, że

wierność i trwałość takiego stosunku jest jego uszlachetnieniem, jego wytłómaczeniem; myślał, że jedna i druga strona tak długo zostanie szlachetną, godną siebie i godną strony drugiej, dopóki nie zerwie. Znosił więc wszystko, tłumił w sobie wszystkie upokorzenia, wszystkie boleści zadawane rozmyślnie, i zostawał pomimo wszystkiego. Wtedy chwycono się środka heroicznego. Wyszedł romans pod tytułem *Lucrezia Floriani*. Treść jego jest ta, że człowiek natury szlachetnej i sympatycznej, ale chorobliwej, nerwowy, podejrzliwy, dumny, pełen arystokratycznych instynktów i uprzedzeń, książe Karol, rażony jest, jak piorunem, miłością do Lukrecyi, kobiety w średnim wieku, która się świata i ludzi wyrzekła, żyje oddana swoim dzieciom i dobrym uczynkom, jest artystką wielkiej sławy, nie udaje się za lepszą, niż jest, a jest lepszą nierównie, niż jej sława. Namiętność Karola objawia się gwałtowną chorobą, w której jego życie jest zagrożonem. Lukrecya go ratuje, kocha go, ale przeczuwa, że ta miłość stanie się dla niej męczarnią, i ukrywa ją. Ale kiedy Karol, coraz namiętniejszy, na nowo może wpaść w niebezpieczeństwo, ta istota wybrana wreszcie dzieli jego... uczucie, przez poświęcenie. Rzecz dziwna, jak kobiety w pewnym wieku rade zasłaniają swoje uczucia tej natury poświęceniem, jakąś macierzyńską opieką! One nie kochają bynajmniej, ale ta istota wątła, słaba, nerwowa, potrzebuje opieki, podpory, czułości. Powstaje stąd ta wstrętna mięszanina jakiegoś udanego macierzyństwa i miłości niemacierzyńskiej wcale, jaką spotykamy w wielu, a między innemi i w Lukrecyi Floriani. Skąd ten dziwny, nienaturalny odcień uczucia? Może stąd, że heroina taka czuje instynktem, że kochając w wieku, w którym, jak mówi Hamlet, nie odzywa się już ani serce ani wyobraźnia, upada nisko w oczach ludzkich, a nawet we własnych, i potrzebuje się podnieść; a jako środek wynajduje poświęcenie, opiekę, czułą troskliwość; zdaje jej się, że dając sobie i swoim uczuciom tę wymówkę i ten pozór macierzyństwa, będzie w zgodzie ze swoim wiekiem i powołaniem, będzie lub wyda się tem, czem być powinna. Tem zapewne tłomaczyłaby swoje poświęcenie znana pani de Warrens, o której tyle mówi Rousseau w Konfesyach: tak tłomaczy Lukrecya Floryani swoją miłość dla Karola. Ta miłość to dwa miesiące nieograniczonego szczęścia. Po dwóch miesiącach Karol staje się kapry-

śnym, podejrzliwym, niesprawiedliwym: nie może zrozumieć dawnych koleżeńskich artystycznych przyjaźni Lukrecyi, staje się zazdrosnym. Co chwila sceny, spazmy, ataki nerwowe, wybuchy wściekłości i rozpaczy, a potem wybuchy miłości. Lukrecyę to dręczy, nuży, zabija na siłach i zdrowiu, ale Lukrecya znosi wszystko, nie mówi nic, bo się poświęciła dla szczęścia Karola; umrze, dzieci zostawi sierotami, on ją zabije, zamęczy; ale ona się nie poskarży, spełni, co sobie przysiągła, na co się poświęciła w dniu, kiedy jego miłość przyjęła. I po kilku latach takiej tortury, kłóta szpilkami, pieczona na wolnym ogniu udręczeń wszelkiego rodzaju, upokorzona zazdrością, oderwana od przyjaciół, Karola już dawno nie kochająca, znosząca go tylko z poświęcenia dla jego szczęścia i dobra, Lukrecya rzeczywiście umarła, siły, wyczerpane ciągłem poświęceniem, ustały, to heroiczne serce pękło!... Karol był w swoich stronach dobrych uderzająco podobnym portretem, w swoich złych stronach uderzająco podobną karykaturą Chopina. Wiele było podobieństwa w dziejach tej miłości, w opisach pierwszych uniesień i późniejszych goryczy, to on tylko jeden mógł wiedzieć i poznać. Wiedział i to także, że Lukrecya prawdziwa nie umarła z poświęcenia, że jej nie zabił, a wiedział najlepiej, że Karolem powieści był nie kto inny, tylko on sam. A przez wyrachowanie chłodnego okrucieństwa, żeby się go pozbyć koniecznie, kiedy romans wychodził, jemu dawano robić korektę arkuszy wychodzących z druku. I robił ją! Wytrzymał i to! Było odwrotnie, jak w powieści: Lukrecya dręczyła i zabijała powolnie, Karol, słaby i chorobliwy Karol, znosił wszystko, bez miłości naturalnie, z pogardą nawet w duszy...“ [1]).

[1]) St. Tarnowski. *Chopin* i *Grottger*. Dwa Szkice. Jest to bodaj czy nie najpiękniejsza rzecz o Chopinie, jaką wogóle napisano o nim. Osnuta na rękopiśmiennym pamiętniku Chopina, zawiera mnóstwo szczegółów pierwszorzędnego znaczenia w życiu Fryderyka, a przytem napisana z niezwykłą znajomością ducha muzyki Chopinowskiej, ile że skreślona „pod kierunkiem“ księżnej Marcelliny Czartoryskiej. Co dziwne, to, że praca ta została prześlepioną przez Fr. Nicksa, który, nie znając jej, na wiele kwestyi rzuca niedostateczne światło. A szkoda, bo gdyby nie te braki, i niektóre inne jeszcze, książka jego, *Friedrich Chopin als Mensch und als Musiker* zasługiwałaby na miano wyczerpującej, choć i tak zupełnie wyczerpującą nie jest. Nicks wyczerpawszy prawie wszystkie źródła zagraniczne, dotyczące naszego muzyka, mianowicie, niemieckie, francuskie i angielskie, zbyt mało wagi przywiązuje do źródeł polskich. Zna książkę Karasowskiego i Szulca, lecz nie zadał sobie trudu zajrzenia np. do prasy polskiej, tak krajowej, współczesnej Chopinowi, jak emigracyjnej. Stąd mnóstwo luk w jego dziele, tak znakomitem skądinąd.

Mimo to przetrwał i *Lukrecyę Floriani:* nie mógł się pogodzić z myślą o zerwaniu. Tymczasem struna naprężała się coraz bardziej, coraz bardziej bliska pęknięcia. Nadszedł rok 1847. Córka pani Sand, 18-letnia Solange, miała wyjść za mąż, za rzeźbiarza Clesingera. O ile jej matka nadzwyczaj sobie życzyła tego związku, o tyle Chopin był mu przeciwny. Czemu? Miał mnóstwo danych, na których podstawie przewidywał, że będzie to małżeństwo niedobrane, więc nieszczęśliwe, a za bardzo kochał miłą i wdzięczną Solange, ażeby nie poruszyć wszystkich sprężyn, by ją uchronić od nieszczęścia. Ta jego opozycya wielce się nie podobała pani Sand, która wogóle niechętnem okiem patrzyła na przyjaźń swej córki z Chopinem. Gniewało ją, gdy Solange przebywała w jego mieszkaniu, gdy z nim wdawała się w długie rozmowy, gdy słuchała jego muzyki, słowem, gdy się garnęła do niego, a nie taiła się ze swem uczuciem sympatyi dla genialnego i wytwornego przyjaciela swej matki. Czy Chopin był zajęty 18-letnią córką swej 43-letniej kochanki? Co pewna, że ją lubił nadzwyczaj, że z nią lubił gawędzić całemi godzinami, że jej chętnie grywał na fortepianie, gdy go prosiła o to, że w jej towarzystwie znajdował to ukojenie psychiczne, którego już nie doświadczał przy jej matce. Wszystko to niepodobało się pani Sand, tak, iż z tego powodu niejednokrotnie przychodziło do brutalnych scen pomiędzy nią a Chopinem, a także i pomiędzy matką a córką. W końcu stało się zadość życzeniu „Lukrecyi“ (jak teraz Chopin często nazywał panią Sand): Solange wyszła za Clesingera. Stało się to w maju 1847 r. Okazało się jednak, że wyszło na to, co przewidywał Chopin: młodzi małżonkowie nie stworzyli dobranego stadła, a w końcu musieli się rozwieść... Tymczasem, zanim do tego przyszło, Chopin miał za swoje: Lukrecya, nie oszczędzając jego uczuć, przestała się kryć ze swymi afektami dla innych mężczyzn, z którymi poza jego plecami utrzymywała nieplatoniczne stosunki, a tak dalece

była niewybredną w wyborze kochanków, że nawet bałamuciła męża swej służącej, która z tego powodu przychodziła skarżyć się Chopinowi... Na niemniejsze przykrości narażał się ten ostatni także i ze strony syna swej niewiernej kochanki, który, w tej chwili już 24-letni młodzieniec, bardzo nieprzyjaźnie odnosił się do kochanka swej matki: stąd niejednokrotnie przychodziło pomiędzy nimi do scen gwałtownych, wielce upokarzających dla Chopina. Ale nareszcie przebrała się jego cierpliwość. Wszystko, co widział dokoła siebie, było tak ohydne i brudne, tak niegodne i grube, że dłużej nie mógł wytrzymać w tej atmosferze najordynarniejszych kłótni pomiędzy matką a córką i zięciem. Ponieważ Chopin trzymał stronę tych ostatnich, a pani Sand, wymówiwszy im swój dom, nie chciała także, ażeby on przyjmował ich u siebie, więc zagroziła mu, że jeśli postąpi wbrew jej woli, ona i z nim zerwie wszelkie stosunki. Chopin nie wahał się ani chwili. „Mają mnie jednego tylko, rzekł do Franchomme'a, w tajemniczonego w tę nieszczęsną sprawę Clesingerów, i ja miałbym przed nimi zamykać drzwi mego domu? Nie, to się po mnie nie pokaże!“ Wiedział, że to się równało zerwaniu wszelkich stosunków z Lukrecyą, ale skoro wymagała rzeczy, do której był niezdolny, więc należało się rozstać...

Jakoż zerwali ze sobą, raz na zawsze.

ROZDZIAŁ III.

Nella miseria (1847—1849 [1]).

I. Choroba w zimie z r. 1847 na 1848. Powrót do zdrowia. Myśli o wyjeździe do Anglii. Ostatni koncert w sali Pleyela. Wybuch rewolucyi. Ostatnie widzenie się z George Sand. Wyjazd do Londynu. II. Początki pobytu w Londynie. Towarzystwo. Tryumfy salonowe. Wieczór polski. Jenny Lind. Spleen. Zły stan zdrowia. Najazd fortepianistów. Zły stan finansow. Występy publiczne. III. Wyjazd do Szkocyi. W Edynburgu. Colder House. Koncert w Manchester. Życie koczownicze. Spotkanie z Czartoryskimi. Koncert w Glasgowie. Johnstone Castle. Koncert w Edynburgu. Znowu w Londynie. Nastrój psychiczny. Ostatni koncert. Na wyjezdnem. Wyjazd z Anglii. IV. Z powrotem w Paryżu. Letnie mieszkanie na Rue Chaillot. Ostatnie kompozycye. Opłakane położenie. Grono przyjaciół. *Place Vendôme 12.* Odwiedziny Moschelesa. Śmierć. Pogrzeb. Zakończenie: Chopina stanowisko w muzyce. Opinie Tarnowskiego, Liszta i Rubinsteina o Chopinie.

I.

Ale są przejścia w życiu, których się nie okupuje bezkarnie. Podobnie miała się rzecz i z Chopinem teraz: wszystko, co przeżył w ciągu tego roku, tak silnie wstrząsnęło jego delikatnym organizmem, że wyczerpany i „wyczuty zupełnie“ rozchorował się ciężko. Przez kilka tygodni był między ży-

[1]) Między papierami Delfiny Potockiej znalazł się autograf Chopina z cytatą końcową znanego wiersza z *Boskiej Komedyi:* Nessun magior dolore .. Na małym świstku przed podpisem skreślił wielki muzyk na pamiątkę Delfinie drżącą już ręką tę parę słów: Nella miseria... jakby ostatni wyraz swej ludzkiej doczesnej doli. Zob. *Tyg. illustr.* Nr. 20 z r. 1898.

ciem a śmiercią, lecz jeszcze i ta choroba nie miała być jego ostatnią. Wyszedł z niej, lecz wyszedł „z cieniem życia“, tak zmieniony, że go uczniowie i uczennice, gdy z niemi znowu rozpoczął zwykłe lekcye, ledwo poznać mogli, a był tak osłabiony, że nawet przy lekcyach, w obecności swych mitrowanych uczennic, musiał leżeć na sofie, przy której miał drugi fortepian... Gdy odwiedzał swych znajomych, nie mógł wejść na schody, na które go zwykle, jak dziecko wnoszono w fotelu, lub na ręku. Swoją drogą, o ile tylko mógł, uciekał z domu, bo choć pani Sand bawiła w Nohant, to jednak czuł się lepiej, gdy był dalej od jej paryskiego mieszkania, z którem się dlań wiązało tyle przykrych wspomnień. To uczucie sprawiło, że zaczął myśleć o wyjeździe do Anglii, dokąd miał mnóstwo zaproszeń ze strony swych angielskich uczennic: zwłaszcza ze strony panny Stirling, której przed trzema laty dedykował dwa rzewne Nokturny. Nadto w Anglii, w czasie wiosennego sezonu, były świetne widoki koncertów, a była to okoliczność, która, obok wielu innych, także przemawiała za wyjazdem z Paryża. Chwilami myślał nawet o stałem osiedleniu się w Anglii... Tymczasem, dopóki ten projekt jeszcze nie przestawał krążyć w mglistej sferze projektów (a tych Chopin zawsze miał pełną głowę), znów dał się wciągnąć w wir życia salonowego. Trudno, salon był jego żywiołem! A zresztą czuł potrzebę rozerwania się...

Jednocześnie czynił przygotowania do koncertu. Koncert ten, wyznaczony na dzień 16 lutego 1848 r., odbył się, jak poprzednie, w sali Pleyela, a powiódł się doskonale, zarówno pod artystycznym, jak i pod materyalnym względem (na tym ostatnim względzie niezmiernie zależało Chopinowi). Sala, cała przybrana kwiatami, wypełniła się śmietanką paryskiego „towarzystwa“, a na program złożyły się najpiękniejsze kompozycye „Ariela fortepianistów“, *Nokturn*, *Barkarolla*, *Etiudy*, *Kołysanka*, *Preludia*, *Mazurki*, *Valce*, oraz *Sonata* na fortepian z wiolonczelą, którą wykonał razem z Franchomme'm. Nadto uraczono słuchaczów *Triem* Mozarta, do którego zasiedli „MM. Chopin, Alard et Franchomme“, panna Antonina Molina di Mondi odśpiewała kilka pieśni; Mr. Roger śpiewał aryę z *Roberta Dyabła*, a pp. Aulari i de Garaudé wystąpili w roli akompaniatorów. Wszystko to złożyło się na nieporównaną ucztę artystyczną, Chopin zaś, o ile grał bardzo cicho, o tyle

po każdym zagranym kawałku wywołał nadzwyczaj głośną burzę oklasków. Słuchacze byli rozentuzyazmowani; nie wiedzieli tylko, gdy po skończonym koncercie opuszczali salę, że artysta, zszedłszy z estrady, zemdlał z wyczerpania...

Mimo to, zachęcony niesłychanem powodzeniem tego koncertu, zdecydował się wystąpić raz jeszcze, d. 10 marca. Ale nadszedł dzień 22 lutego; w Paryżu wybuchła rewolucya; Ludwik Filip, którego tron spalono na placu Bastylii, musiał uciekać z Francyi; na ulicach lała się krew; wznosiły się barykady. W takich warunkach, wypadło zrezygnować z dania drugiego koncertu: nikt by nie przyszedł. Wszystkie umysły były pochłonięte polityką, arystokracya bolała nad klęską domu Orleanów, a do tych, których szczerze obszedł fakt wypędzenia rodziny królewskiej, liczył się i Chopin, który od Ludwika Filipa niejednokrotnie doznał dowodów szczególnej życzliwości: w mieszkaniu jego, pomiędzy mnóstwem różnych gracików, nie brakło i cacek z porcelany sevrskiej, które zdobił napis: *„Offert par Louis Philippe à Frédéric Chopin“*. Tymczasem nastały rządy republikańskie, okraszane szumnemi frazesami Lamartine'a, a że obiecywano złote góry, a dotrzymywano niewiele, więc niebawem zaczęto się rozczarowywać zdobytą „wolnością“. Do liczby tych, którym panująca atmosfera sprzykrzyła się najprędzej, należał między innymi i Chopin, jakkolwiek z początku okazywał wiele zainteresowania się sprawami politycznemi. W końcu zdecydował się opuścić Paryż, a jeśli potrzebował bodźca do przyspieszenia wyjazdu, to mu los nie oszczędził i tego. Przypadek zdarzył, że na jednym wieczorze spotkał się z panią Sand. Podeszła do niego, podała mu rękę, a choć nie cofnął swojej, to jednak, gdy chciała przemówić, wyszedł z pokoju. *Je serrai sa main tremblante et glacée. Je voulus lui parler, il s'echappa.*

II.

Dnia 21 kwietnia już był w Londynie, gdzie początkowo zamieszkał u panny Stirling i jej siosty, pani Erskine; po kilku dniach, przeniósłszy się do pięknego słonecznego mieszkania przy Dover Street Nr. 48, w którem mógł „grać i oddychać“, tak pisał do Franchomme'a: „Nareszcie uspokoiłem się cokolwiek po wirze londyńskim. Dopiero od kilku

dni zacząłem oddychać jako tako, gdyż dopiero od kilku dni pokazuje się słońce. Jeszczem nie porobił moich wszystkich wizyt, nie wszyscy bowiem, do których mam listy polecające, już są w Londynie. Erard okazał się uprzejmym w najwyższym stopniu: przysłał mi fortepian. Prócz tego mam Broadwooda i Pleyela, a więc trzy fortepiany jednocześnie; tylko nie znalazłem jeszcze czasu, ażeby grać na nich. Otrzymuję mnóstwo wizyt, tak, iż dnie schodzą mi z błyskawiczną szybkością...". Najwięcej czasu zabierały mu „Szkotki", t. j. panna Stirling i jej siostra, oraz ich brat, Sir William Stirling-Maxwell, człowiek miły niezmiernie, który go przy sposobności zaprosił do swego zamku w Szkocyi. Prócz nich miał ciągłe odwiedziny swych uczniów i uczennic, należących do najwyższych sfer towarzyskich angielskich, a nie zbrakło i wydawcy, Beale'a, oraz fabrykanta fortepianów Broadwooda. Z ziomków miał tu Stanisława Koźmiana, przed którym, gdy byli sami, wynurzał się ze swych cierpień i zawodów, doznanych z powodu Lekrecyi, i Leonarda Niedźwieckiego, sekretarza jen. Wł. Zamoyskiego, a swego dobrego znajomego z Hotelu Lambert. Wieczorami korzystał z licznych zaproszeń do najpierwszych towarzystw, z chwilą bowiem, gdy się dał słyszeć w salonie księżnej Sutherland (u której, według Liszta, był prezentowany królowej Wiktoryi), cały high life zaczął się dobijać o niego, nie szczędząc mu hołdów i owacyi. Oczywiście, że wszędzie musiał grać...

Kto wie jednak, czy zawsze grał tak pięknie, jak tego wieczoru, kiedy grał ziomkom swoim, emigrantom. Było tak. Londyńska kolonia polska, dowiedziawszy się o jego pobycie w Londynie, wystąpiła z ucztą na cześć wielkiego artysty narodowego. Zebrało się ze trzydzieści osób. Gdy przebrzmiał szereg toastów, wstał Chopin, ażeby podziękować za to serdeczne przyjęcie, i rzekł w te słowa: „Kochani moi współziomkowie! Dowody waszej miłości i uznania, jakie mi tu okazujecie, wzruszają mnie do głębi duszy. Chciałbym wam to słowami okazać, ale, niestety, nie posiadam talentu oratorskiego. Lecz, jeżeli łaska, proszę was, chodźcie do mnie, a na dowód mej wdzięczności zagram wam na fortepianie". Po grzmocie oklasków, będącym odpowiedzią na to przemówienie, ruszono się z miejsc, poczem całe zgromadzenie udało się gremialnie za mistrzem na Dover Street. Tam rozpoczęła

się druga uczta, duchowa. Chopin, jakkolwiek znużony, grał aż do drugiej po północy, a grał same mazury i polonezy...

W tymże czasie, na początku maja, poznał się ze słynną śpiewaczką szwedzką, Jenny Lind, która pierwsza zbliżyła się do niego, chcąc zabrać znajomość z najgenialniejszym z współczesnych fortepianistów. Niezmiernie sympatyczna i miła, ogromnie się spodobała Chopinowi, i jako śpiewaczka, i jako kobieta. Jako śpiewaczkę podziwiał ją w *Her Majesty's Theatre*. Zawsze mu przysyłała doskonały bilet ze swoją kartą wizytową, gdy występowała. „Jest z niej Szwed oryginał, nie w zwyczajnem świetle, ale w jakichś polarnych zorzach. Ogromny efekt w *Somnambuli* robi. Czysto i pewnie nadzwyczaj śpiewa. Jej piano jest tak stałe i równe, jak włos". Nadto śpiewała u niego w domu, a że nikt tak nie umiał akompaniować, jak on, więc nietylko przechodziła samą siebie, ale nie spostrzegła się nawet, jak zaczęła ulegać urokowi polskiego mistrza. Jakoż zawiązała się najserdeczniejsza przyjaźń pomiędzy nimi, przyjaźń, niewolna od drobnej przymieszki uczuć miłosnych, a która sprawiła, że słynna śpiewaczka coraz częściej odwiedzała Chopina, on zaś, domyślając się jej uczuć dla siebie, czynił wszystko ze swej strony, ażeby się zawiodła na swem przywiązaniu do niego. Nieraz, gawędzili całemi godzinami, a niejednokrotnie poruszali i temat *Lukrecyi Floriani*, o której Chopin nie mógł mówić spokojnie...

Wszystko to, razem wzięte, o tyle dodatnio oddziaływało na niego, że chwilami czuł się lepiej, że otoczony ludźmi sympatycznymi, przejętymi uwielbieniem dla niego, zdawał się odzyskiwać zdrowie i siły. Cóż, kiedy w takich chwilach zaraz przestawał się szanować, unikać wszelkich nadużyć, nie zważać na siebie, co oczywiście sprowadziło ten ostateczny rezultat, że po niejakim czasie znowu zapadł na zdrowiu, znowu zaczął cierpieć na swoje spleeny. „Ja już się smucić, ani cieszyć nie umiem, pisał 18 lipca do Grzymały, wyczułem się zupełnie: tylko wegetuję i czekam, żeby się prędzej wszystko skończyło..." Londynem także zaczynał być znudzony, najprzód jego mgłami, a następnie, że jak Anglia Anglią, a Londyn Londynem, nie pamiętano takiego zjazdu fortepianistów, śpiewaków, śpiewaczek, kompozytorów muzycznych, skrzypków etc. Wszystko to, nie mając co robić

w zrewolucyonizowanej Europie, rzuciło się na Anglią, aspirując nietyle do jej muzykalności, ile do jej kieszeni. Stąd istne zatrzęsienie koncertów, co tembardziej irytowało Chopina, że i on nosił się z myślą publicznego wystąpienia. W końcu, po długiem wahaniu, mógł napisać do Gutmana, co następuje: „Dałem dwa poranki muzyczne, które ludziom, jak mi się zdaje, sprawiły niejaką przyjemność, co nie znaczy wcale, ażeby mnie nie miały znudzić porządnie. Bez nich jednak nie wiem, jakbym mógł całe trzy miesiące mieszkać w kochanym Londynie, trzymając wielkie mieszkanie, jakie mi jest koniecznie potrzebne, powóz i służbę".

Pierwszy z tych poranków odbył się d. 23 czerwca o 3-ej po południu w sali pani Sartoris. Ograniczona liczba biletów była po gwinei, wrażenie zaś, jakie Chopin zrobił na doborowem gronie słuchaczów, przeważnie damach z wielkiego świata, równało się niewypowiedzianemu zachwytowi. Grał same mniejsze kompozycye, gdyż za bardzo się czuł bezsilnym, ażeby się poruwać na większe, ale i temi oczarował wszystkich: w tej liczbie i recenzentów. Sprawozdawca najpoważniejszego z czasopism londyńskich, *Atheneum*, opisując ten poranek, nie wiedział, co bardziej podziwiać: kompozycye czy grę Chopina? bo gdy się go słucha grającego własne utwory, nie wiadomo, komu przyznać palmę pierwszeństwa: kompozytorowi czy wykonawcy? tak dalece obaj przechodzą zwykłą miarę. „Jest to rodzaj gry, w której delikatność, plastyka, wytworność i humor, stapiają się w taki sposób, że rezultatem, powstającym z tego przedziwnego aglomeratu piękności, jest uczucie zachwytu, niedoznawane przedtem, nowe zupełnie". Niemniej świetnie powiódł się drugi poranek, urządzony d. 7 lipca w mieszkaniu p. Earl of Falmouth, a na którym Chopin, zdaniem sprawozdawcy *Athaeneum*, grał lepiej jeszcze, niż na pierwszym, bo z większym zasobem siły. Oprócz całego szeregu drobniejszych utworów, jak *Mazurki*, *Preludia*, *Nokturny* i *Walce*, zagrał tym razem *Scherzo B-moll* oraz tragiczną *Etiudę Cis-moll*. Nadto akompaniował pani Viardot-Garcia, która przecudnie odśpiewała kilka pieśni, między innemi *Ich denke Dein* Beethovena.

III.

Na lato, namówiony przez swych przyjaciół londyńskich, pojechał do Szkocyi. Zaproszeń miał tyle, że nie wiedział, z których korzystać pierwej.

Zabawiwszy dzień w Edymburgu, gdzie „odpoczywał" po męczącej 12 godzinnej podróży w dusznym wagonie, udał się do pobliskiego Calder House, wielkopańskiej rezydencyi lorda Torphichen, szwagra panny Stirling. Tutaj spodziewał się wypocząć po swoich „trudach londyńskich", no i wypoczywał. „Nad pokojem, który zajmuję, John Knox, reformator szkocki, po raz pierwszy rozdawał Komunię. Wszystko to pobudza fantazyę — park ze stuletniemi drzewami, przepaści, zrujnowane mury twierdzy, korytarze bez końca, zawieszone niezliczonemi portretami przodków". Pielęgnowany i rozpieszczany przez obie „Szkotki" posiadał wszystkie warunki po temu, ażeby „czuć się tak dobrze, jak go tylko stać było na to", a jednak, pomimo, że miał dwa fortepiany do dyspozycyi, nie mógł komponować. „Jestem oszołomiony i mam wrażenie, że muszę być podobny do osła na maskaradzie, albo do skrzypcowej struny E, naciągniętej na basetlę". Sam przyznawał, że materyalnie używał tu najzupełniejszego spokoju, przyczem „używał na pięknych piosnkach szkockich", lecz nie mógł się opędzić spleenom. Ze zdrowiem był względnie nienajgorzej, swoją drogą czuł się bliskim śmierci. „Jesteśmy stare cymbały, pisał 18 sierpnia do Juliana Fontany, na których czas i okoliczności swoje tryliki nieszczęsne powygrywały... Ja już ledwie dyszę, *je suis tout prèt à crever*, a ty łysiejesz zapewne i zostaniesz jeszcze nad moim kamieniem, jak te wierzby nasze, pamiętasz, co to goły łeb pokazują... Piszę głupstwa, bo nic rozsądnego w głowie nie mam. Wegetuję, czekam zimy cierpliwie. Marzę to o domu, to o Rzymie, to o szczęściu, to o biedzie, a tak się wyrozumiały zrobiłem, że mógłbym Sowińskiego *Oratorium* z przyjemnością słuchać i nie umrzeć. Co mi się zostało, to nos duży i 4-ty palec niewyrobiony".

Ten nieszczęsny 4-ty palec nie dawał mu spokoju, bo właśnie przygotowywał się do koncertu, który miał dać w Manchester. Koncert ten, przedmiot wielkich obaw ze strony

Chopina, odbył się d. 28 sierpnia, jako wielki „Gala-Concert“ manchesterskiej *Concert-Hall*, ze współudziałem pani Alboni, pani Corbari, pana Salvi „and Mons. Chopin“, a nazwisko jego, umieszczone na samym końcu listy (co w Anglii równa się specyalnemu wyróżnieniu), dowodziło, że go uważano za największą znakomitość w tem wybranem gronie znakomitości artystycznych. Mimo to, miał szaloną *tremę* przed wystąpieniem na estradę: do tego stopnia, że prosił Osborna, mającego akompaniować słynnej Alboni, ażeby nie był w sali, gdy on grać będzie. Lękał się, że jego gra zgubi się w tak wielkim salonie, a kompozycye przebrzmią bez wrażenia. Obawy te, jak się okazało, były uzasadnione o tyle, że choć grał ślicznie, cudnie, to jednak grał za cicho, za delikatnie, ażeby wywołać pożądany entuzyazm wśród słuchaczów. Publiczność dawała brawo, ale zachowywała się chłodno, nie była zelektryzowaną, słowem, nie było to powodzenie, jakie powinien mieć artysta tej miary, co Chopin. Na szczęście, to, co napisał *Manchester Guardian* o tym koncercie, brzmiało odnośnie do Chopina entuzyastycznie. „Muzyka Chopina, zarówno jak i jego sposób grania na fortepianie, mają jedną wspólną cechę: więcej delikatności i wytworności, niż siły, więcej starannego wypracowania, aniżeli zwykłej jasności w plastyce tonów, więcej elegancyi w szybkiem uderzeniu, aniżeli siły w nerwowem atakowaniu instrumentu... Na koncercie znajdowało się wielu naszych najlepszych muzyków, którzy gorąco oklaskiwali artystę, tak, iż ostatni numer musiał nawet powtórzyć na żądanie...“ Sprawozdawca *Manchester Courier* wyznawał „z całą otwartością“, że wyszedł z tego koncertu zachwycony Chopinem. „Jeżeli w grze jego nie widzieliśmy siły takiego Thalberga, to znaleźliśmy taką nieskazitelność i czystość stylu, taką poprawność, idącą w parze z świetnem uderzeniem i ekspresyą pełną delikatności, że nie zdarzyło się nam słyszeć nic wyższego w tym rodzaju“.

Począwszy od tego koncertu, trzymając się panny Stirling i jej siostry, którym się całkowicie oddał w opiekę, był w ciągłych rozjazdach, nigdzie nie bawiąc długo. „Włóczę się od lorda do lorda, od jednego księcia do drugiego. Wszędzie, obok nieograniczonej swobody i największej serdeczności, znajduję doskonałe fortepiany, piękne obrazy, doborowe biblioteki...“ Jednak czuł się zmęczony tem koczowniczem życiem,

połączonem z zawieraniem coraz nowych znajomości. „Tłukę się co tydzień po innej gałęzi..., a jak się trochę gdzieś już przyzwyczaję, to gdzieindziej jechać trzeba, bo moje Szkotki pokoju mi nie dają, tylko albo po mnie przyjeżdżają, albo mnie po familii obwożą. One mnie przez dobroć zaduszą, a ja im tego przez grzeczność nie odmówię“. Z niemi spędził czas jakiś w Johnstone Castle, rozkosznym zamku pod samym Glasgowem; w drugiej połowie września bawił u lorda Hamilton, poczem, po krótkim pobycie na północy Szkocyi, wrócił do Edymburga, gdzie miał stałe *pied à terre* w polskim domu doktora Lisińskiego, emigranta, i tu spotkał się z księstwem Aleksandrowstwem Czartoryskimi. Spędzono kilka dni razem, a Chopin nie mógł się dosyć nacieszyć księżną Marcelliną, która była jego ulubioną uczennicą... „Odżyłem trochę pod ich polskim duchem. Dodało mi to siły do grania w Glasgowie, gdzie kilkadziesiąt *noblessy* się zjechało aby mię słyszeć“.

Koncert ten odbył się d. 27 września w sali Marchant-Hall, ze współudziałem pani Adelasio de Marguerite, śpiewaczki, a powiódł się doskonale. Pomimo drogich biletów, sala wypełniła się całkowicie, oprócz arystokracyi bowiem, której niektórzy przedstawiciele „o sto mil poprzyjeżdżali“, zjechało się mnóstwo osób z okolicy, z pobliskich miasteczek i wsi, nie mówiąc już o „poczciwych Glasgowianach“, którym gra Chopina podobała się tembardziej, że nigdy jeszcze, jak Glasgów Glasgowem, nie widziano tylu powozów przed halą koncertową. Ale i znawcy byli zachwyceni. „Wykonanie, pisał nazajutrz *Glasgow Courier*, tak pod względem muzykalnego wykończenia, jak pod względem artystycznej biegłości, było pierwszorzędne, to też cieszyło się powodzeniem, które w przeciągu półtorej godziny zachwycało i przykuwało każdego z obecnych... Sposób, w jaki pan Chopin traktuje fortepian, jest właściwy jemu samemu tylko...“

Prosto z koncertu udał się Chopin, w towarzystwie rodziny Stirlingów i Czartoryskich, do Johnstone Castle, na obiad. „Cały więc dzień razem z nimi spędziłem, a nazajutrz, (gdy księstwo pojechali do Glasgowa), wszyscy się księżnej Marceliny odchwalić nie mogli. Nie uwierzysz, jak mnie to tego dnia ożywiło. Ale dziś już jestem przygnębiony“. Przyczyniała się do tego w znacznej części brzydka pogoda, obfi-

tująca w deszcze i mgły. Wilgoć rozstrajała go, a gdy się tylko czuł gorzej, zaraz na wszystko patrzył przez pryzmat swych duszności i zbolałych piersi, przez pryzmat męczącego kaszlu i wypluwanej flegmy. „Całe rano aż do drugiej z południa jestem teraz do niczego, a potem, jak się ubiorę, wszystko mnie żenuje, i tak duszę się aż do obiadu, po którym dwie godziny trzeba siedzieć z mężczyznami u stołu i patrzeć, jak piją, i słuchać, co mówią. Znudzony na śmierć (myśląc o czem innem, niż oni), idę do salonu, gdzie trzeba całej siły duszy, żeby się trochę ożywić, bo wtenczas zwykle ciekawi mnie słyszeć. Potem odnosi mię po schodach mój poczciwy Daniel do sypialnego pokoju, który, jak wiesz, zawsze u nich (Anglików) na piętrze się znajduje, rozbiera, kładzie do łóżka, zostawia świecę i — wolno mi dyszeć, marzyć aż do rana, póki się znów to samo nie zacznie“. Nadto był szalenie stęsknionym za krajem, za otoczeniem polskiem. „Niedługo i po polsku zapomnę, po francusku z angielska mówić będę, a po angielsku nauczę się ze szkocka...“ Jednocześnie drżał na myśl o koncercie, który już był zapowiedziany w Edymburgu.

Koncert ten, z programem wypełnionym przez samego Chopina bez niczyjego współudziału, odbył się d. 4 października przy pełnej sali Hopetoun Rooms, a wszystkie obawy, któremi zdenerwowany artysta dręczył się przed wstąpieniem na estradę, rozwiały się z chwilą, gdy zasiadł do fortepianu. Grał tak świetnie, że instrument Broadwooda, na którym tego dnia wykonał cały szereg swoich kompozycyi, został sprzedany o 30 funtów szterlingów drożej, niż wynosiła jego poprzednia cena: a tylko dlatego, że go się dotykały palce Chopina. Oczywiście, że i krytyka nie dała się ubiedz w wyrazie tego entuzyazmu. „Co się tycze kompozycyi Chopina, czytano d. 7 października w *Edinbourgh Courant*, to są one już oddawna częścią składową muzyki europejskiej, a cieszą się zbyt wielkiem uznaniem, ażeby wymagały innej charakterystyki, aniżeli ta, że zaliczają się do najcudniejszych produkcyi w dziedzinie klasycznej muzyki fortepianowej. O jego grze powiemy tyle tylko, że jest najdoskonalszą ze wszystkich, jakie się nam kiedykolwiek słyszeć zdarzyło“. W tym tonie była cała recenzya, podnosząca również, że publiczność, która tego wieczoru zgromadziła się w salonie Hopetoun

Rooms, ażeby „powitać swego ulubionego artystę“, była „w najwyższym stopniu *fashionable*“. Sam Chopin również był zadowolony z tego wystąpienia. „Grałem w Edymburgu, pisał do Grzymały, zjechało się dużo arystokracyi z okolicy, ażeby mię posłuchać. Ludzie mówią, że wszystko poszło jaknajlepiej. Trochę powodzenia i nieco pieniędzy!“

Ażeby odpocząć po tym edymburskim tryumfie, wrócił do Calder House, tu kaszlał i dusił się parę tygodni, aż wreszcie na pierwszy listopada zjechał do Londynu, gdzie zamieszkawszy przy St. James Place, znowu zaczął się komunikować z księżną Marcelliną i jej mężem. Niestety, warunki, w jakich się spotykali teraz, były o tyle przykre, że Chopin, ledwo się rozlokował w swem nowem londyńskiem mieszkaniu, zaraz się musiał położyć do łóżka: zaziębił się, dostał „ataku kataru z bólem głowy“. Wezwani lekarze orzekli, że powinien wyjechać z Londynu, którego klimatu nie znosi, że najlepiej zrobi, wracając do Paryża. Tymczasem jemu nie było sporo „teraz“ wracać nad Sekwanę, a czemu, na to dał odpowiedź w liście do Grzymały: „Nie przeklinam nigdy nikogo, ale tak mi jest już nieznośnie teraz, że zdaje mi się, że lżejby mi było, gdybym mógł Lukrecyę przekląć! Ale i tam cierpią zapewne, cierpią tembardziej, że się starzeją w złości!“ Powtóre w Paryżu ciągle wrzała rewolucya, co także nie zachęcało do wyjazdu. Nie ruszał się więc, a choć się niewiele podnosił z łóżka, to jednak nie potrzebował się uskarżać, ażeby był opuszczony. Takich, co go odwiedzali, co mu — aż do znudzenia — ofiarowywali swoją pieczołowitość, co mu starali się uprzyjemniać londyńskie mgły i szarugi, nie brakło nigdy, a znaleźli się i tacy, z którymi mógł rozmawiać po polsku. „Widuję często poczciwego majora Szulczewskiego, Broadwooda, panią Erskine, która tu z panem Stirlingiem *za mną przyjechała*, a szczególniej księstwo Aleksandrostwo“.

Wśród podobnych okoliczności wypadło mu d. 16 listopada grać na koncercie i balu na dochód emigrantów polskich. Jakkolwiek był chory, nie odmówił jednak, gdy go proszono o uświetnienie tego wieczoru. Chodziło o to tylko, ażeby go Dr. Mallan „wysztyftował tak dalece“, by w oznaczonym dniu mógł pojechać do Guildhall, gdzie miał się odbyć rzeczony bal polski. Pojechał, grał, ale wycieńczony cho-

robą grał zbyt cicho, aby zagłuszyć szmer rozmów, rozlegający się po całej, przepysznie udekorowanej sali. Powiada jeden z obecnych na tym balu, że ci z uczestników zabawy, co, spoceni tańcem, wchodzili do sali, gdzie właśnie grał Chopin, nie byli w odpowiednim nastroju, ażeby go słuchać, po chwili więc, posłuchawszy trochę, wracali tańczyć w dalszym ciągu. „Tymczasem Chopin był w ostatniem stadium fizycznego wyczerpania, tak, iż wszystko razem zakrawało na jedno wielkie rozczarowanie. Gra jego, w tak niepomyślnych okolicznościach, była bolesną choć szlachetną pomyłką". Cóż za smutny epilog świetnej i pięknej karyery artystycznej!

Na domiar złego, wyczerpany tym nadmiernym wysiłkiem, zaraz po powrocie do domu, całą noc spędził bezsennie „cierpiąc na głowę mocno, prócz kaszlu i dychawicy". Odtąd miał się coraz gorzej „w tym psim o tej porze Londynie". Dusił się, a zmuszony leżeć w łóżku, tak sobie obrzydził wszystko, począwszy od swego mieszkania, a skończywszy na pannie Stirling i jej siostrze, które go zanudzały swą troskliwością i opieką, że postanowił, nie zważając na nic, wracać do Paryża. „Jeszcze dzień dłużej tutaj, a zwaryuję (pisał jednego z pierwszych dni stycznia 1849 roku do Grzymały). Moje Szkotki takie nudne, że niech ręka boska broni! Jak się przypięły, tak ani się oderwać! Jedna księżna Marcellina co mię przy życiu trzyma, jej rodzina i poczciwy Szulczewski!" Nie łudząc się co do stanu swego zdrowia, gdy księstwo Aleksandrowstwo wrócili do Paryża, zdecydował się uczynić to samo. W tem uczuciu, na parę dni przed wyjazdem, tak pisał do Grzymały, prosząc go, ażeby się zajął urządzeniem mieszkania na jego przybycie: „Każ w piątek bukiet fijołkowy kupić, aby w salonie pachniało. Niech mam jeszcze trochę poezyi u siebie, wracając i przechodząc przez pokój do sypialni, gdzie się pewno położę na długo..."

IV.

Pod tym względem stało się wszystko, jak przewidział. Od chwili, gdy przestąpił próg swego paryskiego mieszkania przy *Square d'Orleans*, ani razu nie czuł się tak dobrze, żeby choć pół dnia nie był zmuszony przeleżeć w łóżku. O tem, żeby dawać lekcye, nie mogło być mowy: był za słaby.

Myślał więc, że będzie mógł komponować, ale i to wymagało innego stanu zdrowia, niż ten, w jakim się znajdował teraz. Z wielkim wysiłkiem zdobył się na napisanie rzewnego *Mazurka G-moll*, a kiedy napisał drugiego w tonie *F-moll*, był tak wycieńczony, że już nie miał dość siły, ażeby go przegrać na fortepianie. Jakoż była to jego ostatnia kompozycya!.. W tak opłakanych warunkach odwiedziła go Jenny Lind. Jakże smutnem musiało być to ich powtórne spotkanie!

Z nadejściem lata, kiedy się zaczęły upały, poradzono Chopinowi, ażeby zamieszkał gdzieś pod Paryżem, na świeżem powietrzu. Jakoż wynaleziono mu odpowiedni lokal przy *Rue Chaillot*, w ogrodzie, w dali od miejskiego gwaru i pyłu. Mimo to nie poprawiał się: przeciwnie, widać było, że choroba postępuje, a nadto komplikuje się złem funkcyonowaniem serca. Niedość, że kaszlał i dusił się, ale jeszcze i nogi zaczęły mu puchnąć... Doktorzy Cruveillé i Louis, pod których opieką zostawał, nie umieli zaradzić złemu, gdyż to złe było chorobą nieuleczalną, suchotami. Chory, jak zwykle suchotnicy, nie wiedział o tem, a w rozmowach ze swymi przyjaciółmi, z Franchommem, z Gutmanem, z Grzymałą, z Clesingerem, z księżną Marcelliną, którzy go odwiedzali nieustannie, nie tyle ubolewał nad swym beznadziejnym stanem, ile nad swem fatalnem położeniem materyalnem. Nie mogąc dawać lekcyi, które były głównem źródłem jego dochodów, ani mogąc komponować, zbliżał się do finansowego bankructwa... W końcu okazała się potrzeba przyjęcia zapomogi od panny Stirling, która, uwiadomiona o jego kłopotach pieniężnych, natychmiast przysłała mu 25000 franków. Podobno, że z tej sumy zatrzymał tylko połowę. Łatwo sobie wyobrazić, jak go bolało przyjęcie tego datku.

Tak upłynęło sześć tygodni. Zbliżała się jesień. Zaczęto debatować nad tem, czyby nie było dobrze, ażeby chorego wysłać do Włoch do ciepłego klimatu. Lekarze sprzeciwili się temu; radzili tylko, ażeby zamieszkał w lokalu z oknami na południe. Skoro znaleziono takie mieszkanie przy *Place Vendôme Nr. 12*, nastąpiły przenosiny. Chopin, jakkolwiek był tak bezsilny, że nawet siedzieć nie mógł niepodtrzymywany przez którego z przyjaciół, niezmiernie cieszył się na to nowe mieszkanie: urządzając je (przyczem naturalnie sam nie był czynny), nie żałował wydatków, chodziło mu bowiem, ażeby

wszystko było bardzo ładne, obrachowane na wielką dogodność, słowem, robił wrażenie, jakby tu sprowadzał się na długo. Tymczasem miał się tak źle, że już nie wątpiono o zbliżającym się zgonie, a po naradzie zdecydowano się napisać do jego rodziny. Na to wezwanie przyjechała jego siostra, Ludwika Jędrzejewiczowa. Przyjechała z mężem i córką, ażeby pielęgnować dogorywającego brata, a nikt nie wątpił, że nie długo będzie tej pielęgnacyi... W tymże czasie przyjechał do Paryża Moscheles, a dowiedziawszy się o chorobie Chopina, pospieszył do jego łoża. Ale zastał już tylko cień wielkiego artysty, z którym niegdyś grał na dworze Ludwika Filipa. Ciało trawiła gorączka, morderczy kaszel wyczerpywał ostatek sił, zdawało się, życie może ulecieć każdej chwili. Lekarze zwątpili o możności ratunku, tylko sam chory nie wątpił. Kiedy zwołano konsylium, nalegał, żeby wezwano doktora Blache, najsławniejszego podówczas lekarza chorób dziecięcych. „On mi najprędzej pomoże, mówił, bo we mnie jest coś dziecka".

Dnia 15 października począł tracić głos, dostał chrypki, która nie wróżyła nic dobrego. Otoczony gronem przyjaciół i uczennic, pielęgnowany przez siostrę, nieodstępującą jego łoża, uśmiechał się do nich, o ile nie cierpiał, a patrząc na panią Clesinger, która także znajdowała się obok jego najserdeczniejszych przyjaciółek, jak księżna Marcellina lub piękna księżniczka O'Meara, nie mógł zapomnieć o Lukrecyi. *Elle m'avait dit*, rzekł do Franchomme'a, *que je ne mourrais que dans ses bras.* A ona? Ona dowiadywała się podobno, czy może się z nim zobaczyć; podobno, że nawet była w przyległym pokoju, lecz jej nie dopuszczono do chorego, ażeby mu oszczędzić zbyt silnego wzruszenia... Tegoż dnia przyjechała z Nizzy druga jego przyjaciółka, a przez pewien czas rywalka pani Sand, Delfina Potocka. Ją dopuszczono do chorego. Chopin, ujrzawszy ją, ucieszył się niezmiernie, a po chwili wyraził życzenie, że chętnie posłuchałby jej śpiewu. Głos łamał się ze wzruszenia, ale nie mogła odmówić życzeniu umierającego. Jakoż wsunięto fortepian z sąsiedniego pokoju, a gdy się wszyscy uciszyli, zaśpiewała aryę Belliniego z *Beatrice di Tenda*. Piękna scena! Tegoż dnia Chopin dał polecenie siostrze, ażeby spaliła wszystkie papiery po nim, a w tej liczbie i wszystkie kompozycye jego, które uzna za

gorsze. „Winienem to publiczności, mówił, i sobie, żeby ogłaszać tylko rzeczy dobre. Trzymałem się tego przez całe życie, chcę się trzymać i teraz".

Tymczasem, kiedy te rzewne sceny rozgrywały się w sypialni chorego, w przyległych pokojach panował tłum, ścisk, albowiem cały Paryż muzykalny i emigracyjny, dowiedziawszy się, że Chopin umiera, chciał go jeszcze widzieć i pożegnać. Ale nie wszyscy byli dopuszczeni do niego...

Ci, którzy mieli to szczęście, byli zdumieni jego spokojem: ze wszystkimi rozmawiał uprzejmie, a następnie żegnał się po prostu, jak przed podróżą... Miał świadomość, że zbliża się śmierć, ale jej patrzał w oczy tak spokojnie, jak gdyby nie po niego przychodziła. Tymczasem przy łóżku, obok siostry i Gutmana, siedziała księżna Marcellina, a inni, z pochylonemi głowami, odmawiali modlitwy za konających.

Noc z d. 15 na 16 października była bardzo ciężka. Nie spał, a dusząc się ciągle, cierpiał okropnie. Rano polepszyło mu się. Czując znaczną ulgę, rzekł, że to źle „bo mnie to przywiązuje do życia, a powinienem się od niego odrywać". A zwracając się do przyjaciół, między którymi nie brakło i księżnej Marcelliny i Franchomme'a, rzekł z odcieniem niewypowiedzianej tęsknoty: „Będziecie grywać na moją pamiątkę, a ja was będę stamtąd słyszał". „Będziemy grywali twoją sonatę, wtrącił Franchomme". „O nie, nie moją, odrzekł, *vous jouerez du Mozart en memoire de moi*". Tegoż dnia, po długim oporze, wyspowiadał się przed X. Jełowickim, swoim przyjacielem z lat dziecinnych, przyjął Sakramenta, a ochłonąwszy ze wzruszenia, wdzięczny swemu spowiednikowi, że go namówił do tego aktu skruchy, rzekł z głębokiem przeświadczeniem: „Bez ciebie, mój drogi, byłbym zdechł, jak świnia!" Potem żegnał się z najbliższymi przyjaciółmi, a widząc ich płacz, mówił z anielskim spokojem: „Dobrze mi, że tak umieram... Siostro moja kochana, nie płacz... Nie płaczcie, przyjaciele moi, jam szczęśliwy, czuję, że umieram. Módlcie się za mnie! Do widzenia w Niebie!"

W nocy, która znów była bardzo ciężka, zaczęło się konanie. Umierający leżał niemy, na wznak, i rzężał. W końcu zdawało się, że stracił przytomność, ale gdy go doktor Cruveillé zapytał, czy cierpi, odrzekł wyraźnie: „*Plus...*" Po północy zażądał wody z winem. Wtedy Gutman podniósł go

z poduszek i podsunął mu do ust szklankę. Chopin napił się, poczem, kiedy go Gutman układał na poduszkach, rzekł doń czule: *Cher ami!* i już od tej chwili nie powiedział więcej ani słowa. Umarł między 2-ą a 3-cią w nocy.

Nad ranem, skoro się zaczęło rozwidniać, malarz Kwiatkowski zaczął rysować jego portret, tak, jak wyglądał po skonaniu: z głową rzuconą w tył a dziwną słodyczą rozlaną na całej twarzy. Potem zdjęto maskę pośmiertną... Nazajutrz, gdy już leżał ubrany na łóżku, zniesiono tyle kwiatów, że wyglądał, jakby spoczywał w jakimś zaczarowanym ogrodzie.

W parę dni później cała prasa francuska pomieściła obszerne artykuły z powodu jego śmierci, a znalazły się między niemi i takie, które wyszły z pod pióra najznakomitszych pisarzów i muzyków. *La Presse* pomieściła piękny feljeton Teofila Gantier, Jules Janin rozpisał się w *Journal des Debats*, w którym także zabrał głos Berlioz. Jednocześnie i wszystkie pisma angielskie wystąpiły z artykułami o Chopinie.

Pogrzeb odbył się dopiero d. 30 października. Dnia tego, o godz. 12-ej w południe, na placu przed kościołem św. Magdaleny, zarówno jak i na wszystkich przyległych ulicach, cisnęły się nieprzejrzane tłumy ludu. W obec żałobnej dekoracyi frontonu kościoła, do którego wpuszczano tylko za biletami, niejeden prostaczek, patrząc na ten nieprzejrzany sznur powozów i karet z lokajami i stangretami w liberyach, zajeżdżających przed kolummnadę świątyni, pytał naiwnie: Cóż to za *grand seigneur* umarł, że tyle arystokracyi zjeżdża się na jego pogrzeb?.. Tymczasem wewnątrz kościoła, w jego olbrzymiej nawie, tłoczyło się przeszło trzy tysiące osób, cały świat arystokratyczny i artystyczny Paryża. W głębi umieściła się orkiestra konserwatorium, a w samym środku nawy wznosiło się żałobne mauzoleum, przybrane zielenią, jarzące się lasem świec. W samo południe, gdy wniesiono trumnę ze zwłokami zgasłego Mistrza, zabrzmiały przejmujące dźwięki jego *Marsza pogrzebowego*, orkiestrowanego przez Rebera (Meyerbeyer żałował, że nie jego proszono o to), poczem, gdy trumna stanęła pod sklepieniem mauzoleum, przyszła kolej na *Requiem* Mozarta, wykonane przez orkiestrę i chóry konserwatorium pod dyrekcyą Girarda: solowe partye śpiewali artyści opery, panie Viardot-Garcia i Castellane, oraz pp. Lablache i Dupont. Potem zaczęło się nabożeństwo żałobne, podczas

którego Lefébure-Vely, słynny organista kościoła św. Magdaleny, grał na organach dwa smętne *Preludia* Chopina, *E-moll* i *H-moll*, a następnie improwizował na różne Chopinowskie tematy. Po skończonem nabożeństwie wyniesiono trumnę, kościół zaczął się opróżniać, aż wreszcie olbrzymi orszak pogrzebowy, tłoczący się za wspaniałym karawanem i wozem z niezliczoną ilością wieńców, ruszył w stronę cmentarza Père Lachaise. Na czele szli Meyerbeyer i książe Adam Czartoryski, obok karawanu zaś, trzymając sznury od trumny, postępowali przyjaciele Chopina: Delacroix, Franchomme, Gutman i Pleyel. Za nieprzejrzanym tłumem pieszych, zdążających za karawanem, ciągnął się nieskończony sznur karet. Na cmentarzu, nad świeżo wykopanym grobem, nie było żadnej mowy, tylko na trumnę, gdy ją spuszczono do dołu, wysypano garść ziemi polskiej, tę samą, którą przed dwudziestu laty wyjeżdżającemu z Warszawy Chopinowi dali w srebrnej czarze żegnający się z nim przyjaciele.

Lecz serce Chopina nie spoczęło na cmentarzu paryskim. Przewieziono je w urnie do Warszawy, gdzie też spoczywa wmurowane w lewą ścianę głównej nawy kościoła św. Krzyża. Było to życzeniem samego Mistrza, bo choć mu połowę życia wypadło spędzić wśród obcych, to jednak serce jego ani na chwilę nie przestało bić dla kraju, którego — pomimo swego niepolskiego nazwiska — był jednym z najprzywiązańszych synów.

Piętno tej gorącej miłości ojczyzny, wyssanej z mlekiem matki, w takim samym stopniu, w jakim cechowało jego całe życie aż do zgonu, cechuje i jego muzykę, której polski charakter stanowi jej największą oryginalność [1]). Stąd jej pokrewieństwo z naszą wielką poezyą romantyczną, z tworami geniuszu Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.

Pięknie powiada St. Tarnowski, że kiedy się ma do czynienia z naszą poezyą XIX wieku, mianowicie z jej wielką trójcą poetyczną, mimowoli myśli się o Chopinie, jako o czwartym poecie Polski ówczesnej, mimowoli słyszy się w duszy jego *Poloneza*, który jest jakby akompaniamentem do końco-

---

[1]) „Wiesz, ile chciałem czuć i po części doszedłem do uczucia naszej narodowej muzyki“ pisał Chopin d. 25 grudnia 1831 r. do Tytusa Wojciechowskiego.

wego obrazu *Pana Tadeusza*. „Czytając tęskne i rzewne skargi Słowackiego, któremu tak „trudno do tego życia, jakie miał, przywyknąć“ i „zapomnieć wdzięku, co młodość odludną wodził na starych opłotki cmentarzy“, przypominają się jakieś oderwane, żałosne, tęskne dźwięki *Preludiów* lub *Mazurków*, jak gdyby ta muzyka była tylko innym wyrazem tej samej myśli, tego samego uczucia; a kiedy Krasiński głębszym, rozpaczliwszym może od innych głosem opowiada „czyściec dni teraźniejszych“ i jak Dant za życia przechodzi przez piekło, wtedy zda się, jak gdyby do tego straszliwego pochodu grały mu głuche, ponure, przerażające akordy *Marsza Żałobnego*. A kiedy tamci trzej „z archanielskiemi skrzydłami i głosem“ strzegli „narodowego pamiątek kościoła“, ten czwarty był jak ów słowik Wajdeloty, co

Brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosnkę żałoby,

a ta pieśń jego, szczęśliwsza od tamtych (przez to, że wyśpiewana w uniwersalnym języku muzyki) jedna naprawdę „tłum ludzi obiegła“. ... Jednym z ostatnich utworów Chopina, powiada St. Tarnowski, jest jego *Polonaise Fantaisie*, który, po przejmujących obrazach walk i bojów, kończy się hymnem tryumfu. „W tem uczuciu jest jego muzyka ze współczesną sobie poezyą zgodna, nietylko przez ogólne uczucie narodowe, przez swoją właściwą cechę polską[1]), ale nawet w wielu, prawie we wszystkich, tonach i odcieniach tego uczucia. Jak poezya, jest muzyka Chopina kwiatem przeniesionej do nas romantyczności, nietylko przez to, że pod względem technicznym, jako kompozytor, należy on do szkoły romantyków, ale przez to nierównie więcej, że jego muzyka ma te same wdzięki, ten sam charakter i te same niedostatki, co nasza poezya romantyczna. Jak ona, ma najwyższą rzewność uczucia; jak ona, wielką oryginalność i wielkie bogactwo form i pomysłów; jak ona ma wielką żywość i jaskrawość wy-

[1]) „Co sprawia, że Chopin tak wystaje i tak zajmuje, tak do siebie ciągnie pomiędzy kompozytorami naszych czasów, to silna, wybitna narodowość, która go ożywia, mianowicie polska“. Robert Schumann, *Schriften über Musik und Musiker*.

obraźni, a w tej wyobraźni coś mglistego, eterycznego, nieokreślonego; jak tamta przeważnie, tak ta jest nawskróś uczuciową, i jak tamta także, pełną uczucia i natchnienia patryotycznego[1]). A jak ma wielkie i piękne przymioty romantyzmu, tak ma i niedostatki podobne do jego błędów: melancholią przesadzoną i przechodzącą w chorobliwość, wielkie rozdrażnienie i drażnienie nerwów, brak równowagi i rozstrój wewnętrzny, objawiający się w pomysłach czasem niejasnych, niezrozumiałych, w wykonaniu dziwnem, niekiedy aż prawie excentrycznem. A jak charakterem, duchem, rodzajem natchnienia, tak i kolejami, przez jakie przechodziła, muzyka ta podobna jest do tej poezyi“ [2]).

Z kolei nasuwa się pytanie: co Chopin wniósł z sobą nowego w dziedzinę muzyki? Czy będąc najgenialniejszym i jedynie prawdziwie wielkim pomiędzy kompozytorami polskimi, jest także krokiem naprzód w rozwoju muzyki w ogóle, czy wprowadził do niej jakie nowe nieznane przedtem pierwiastki, słowem, jakie jest jego stanowisko wśród muzyków europejskich? Na to pytanie tak odpowiada Franciszek Liszt, wyznaczający Chopinowi „jedno z najzaszczytniejszych miejsc w dziejach sztuki“: „Rozpatrując się systematycznie w pracach Chopina, znajdujemy w nich piękności dziwnie podniosłego stylu, expressyi całkiem nowej, połączeń harmonicznych tyleż samodzielnych ile głęboko pomyślanych. Śmiałość zawsze jest u niego usprawiedliwiona; bogactwo, nadmiar nawet, nie wyłączają jasności; odrębność nie przechodzi nigdy w dziwactwo; zbytek zaś ozdób nie przeładowywa nigdy wykwintu zasadniczych rysów. Pierwszorzędne jego utwory obfitują w kombinacye, stanowiące rzec można epokę w dziejach muzycznego stylu... Jemu zawdzięczamy owo rozszerzenie użycia akordów, w najrozmaitszem ich zastosowaniu i rodzajach uderzeń; jemu również liczne węzłowania chromatyczne i euharmoniczne, których u niego tyle uderzających przykładów; jemu nareszcie — te drobne zastępy nót dodatkowych, unoszące się niby pryzmatyczna kurzawa kropel rosy, ponad głównym śpiewem. Dał on temu rodzajowi ozdoby, jakich

[1]) *Etiuda Cis-moll, Polonez A-Dur.*
[2]) St. Tarnowski. *Chopin i Grottger*. Dwa szkice. Kraków, 1892 roku.

pierwowzoru szukaćby chyba w fioryturach starej szkoły włoskiej, powaby niezwykłości i urozmaicenia, którym już nie podoła głos ludzki, niewolniczo wprzódy przewagę swoją fortepianowi narzucający w upiększeniach, dziś już zużytych i monotonno-stereotypowych. On także jest wynalazcą owych cudownych progresyi harmonicznych, które charakterem powagi nacechowały nawet karty, pozornie, dzięki lekkości swego przedmiotu, nie mogące sobie rościć do tego prawa“ [1]).

Po tem zdaniu Liszta, najgenialniejszego wirtuoza fortepianowego, jakiego wydała pierwsza połowa naszego wieku, godzi się przytoczyć opinię Antoniego Rubinsteina, który, jako najświetniejszy fortepianista drugiej połowy XIX stulecia, tak się wyraża o Chopinie w swej książce o *Muzyce i jej przedstawicielach:* „Jeżeli wszyscy wielcy muzycy oddawali najpiękniejszą cząstkę swej duszy fortepianowi, to geniuszem tego instrumentu jest niezaprzeczenie Chopin. Czy fortepian tchnął w Chopina swą duszę, czy dusza Chopina przejęła się fortepianem, nie wiem, ale dzieła jego mogły powstać tylko przez ścisłe zespolenie się twórcy z klawikordem. Tragiczność, romantyczność, liryka, heroizm, dramat, fantazya, serdeczność, marzenie, blask, wielkość, prostota, wszelkie możliwe odcienia, znajdujemy w utworach fortepianowych Chopina, i to w najwykwintniejszej formie“. *Preludia*, te perły jego całej twórczości, większość *Etiud* i *Nokturnów*, *Polonezy Es-moll*, *Cis-moll*, *Fis-moll*, *As-dur*, a szczególniej *A-Dur* i *C-mol*, z których pierwszy jest obrazem tryumfu, drugi — upadku kraju, następnie cztery *Ballady*, *Scherzo H-moll* i *B-moll*, *Sonaty H-moll* i *B-moll*, wszystko to są, zdaniem Rubinsteina, arcydzieła, nad które piękniejszych nie podobna wskazać w całej literaturze fortepianowej. Np. *Sonata H-moll*, to cały dramat. „Po *Marszu żałobnym* o uczuciu skupionem i charakterze lirycznym, następuje część ostatnia, która jest, jak nocny powiew wichru po cmentarnych grobach“. „Nakoniec przychodzą — *last not least* — *Mazurki!* Oprócz *Polonezów* i *Mazurków* nie pisał nic z intencyą odtworzenia ducha polskiego, ale we wszystkich dziełach jego dźwięczy chwała jego kraju i śpiew, drgający żalem nad nim. Pod względem muzykalnym, ile piękności

[1]) *Fr. Szopen,* przez Fr. Liszta. Przekład Fel. Faleńskiego. Warszawa 1873.

w pomysłach, co za doskonałość techniki i formy, jak ciekawe i nowe szczegóły harmoniczne. A często jaka wielkość!“ Chopin, zdaniem twórcy *Demona*, należy do szczupłej liczby tych, co nie mają poprzedników, przyczem zasługuje na uwagę także i z tego względu, że jest jedynym twórcą, który, poznawszy istotę swego talentu, nie sprzeniewierzył się jemu, i oprócz paru pieśni, innych rodzajów nie próbował uprawiać. Wogóle jest on „duszą“ fortepianu, którego nie można nie ubóstwiać. Kończy on też — według Rubinsteina — trzecią epokę sztuki muzycznej. Na czele pierwszej, która była epoką organu i śpiewu, stoi Palestrina. Największymi jej przedstawicielami byli Bach i Händel. Godnie ją też wieńczą. Druga epoka, instrumentalna, była epoką rozwoju fortepianu i orkiestry. Zaczyna się ona od Filipa Emanuela Bacha, kończy zaś na Beethovenie, który jest jej przedstawicielem, oraz obejmuje Haydna i Mozarta. Trzecią epokę, liryczno-romantyczną, otwiera Schubert, dalszy ciąg stanowią Weber, Mendelsohn, Schumann, a uwieńczeniem jej jest Chopin.

Warszawa d. 17 maja 1898 r.

KONIEC.

Zbiory Słowa J.F.C.
BIBLIOTEKA NARODOWEGO INSTYTUTU FRYDERYKA CHOPINA

SPIS RZECZY.

Str.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

W kraju 1810—1830.

Rozdział I.: Dzieciństwo (1810—1824) 5
„ II.: W liceum (1824—1827) 12
„ III.: „Szopenek“ (1827—1830) 21

CZĘŚĆ DRUGA.

Na obczyźnie 1830—1849.

Rozdział I.: Dola i niedola (1830—1837) 45
„ II.: George Sand (1837—1847) 68
„ III.: Nella miseria (1847—1849) 87



Fryderyk Chopin

ŻYCIORYSY SŁAWNYCH POLAKÓW.
Nr. 7.

FRYDERYK CHOPIN

ZARYS BIOGRAFICZNY

Ferdynan

Z PORTRETY

Cena

PETE
NAKŁADEM KAZIMIER
1

